

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 15 czerwca 1907. Nr. 24.

Z krwawych dni w Warszawie.

(Treść na stronie 2).



Z krwawych dni w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

W Królestwie Polskiem, w tej nieszczęsnej, skołatanej tylu przejściami krainie, krew leje się nieustannie. Niema dnia jednego, by na ulicach



Zamordowanie dyrektora fabryki w Łodzi. Inżynier Dawid Rosenthal, dyr. fabryki tow. akc. »I. K. Poznański«.

Warszawy czy Łodzi nie rozległ się odgłos strzałów morderczych, niema dnia bez zamachów, bez napadów. Zwłaszcza zaś z Łodzi, z tego polskiego Manchesteru, nadchodzą coraz to straszniejsze, coraz bardziej wstrząsające wieści, świadczące, iż rewolucya przemieniła się tam w istną anarchię.

Z pomiędzy zamachów, dokonanych w Warszawie w ciągu ubiegłego tygodnia, wyróżnił się zamach czwartkowy. W dniu tym, w godzinie popołudniowej, wszedł jakiś ajent policyjny, którego nazwisko dotąd nie jest znane, z Leszna w ulicę Orlą. W ulicy tej stało pięciu młodych ludzi, którzy na widok nadchodzącego ajenta poczęli po kolei strzelać. Usłyszawszy strzały, ajent zwrócił się ku Lesznu, owi nieznajomi jednak udali się w tym samym kierunku, a równocześnie jeden z nich strzelił do ajenta trzy razy. Strzały były celne i ajent padł ciężko zraniony na ziemię.



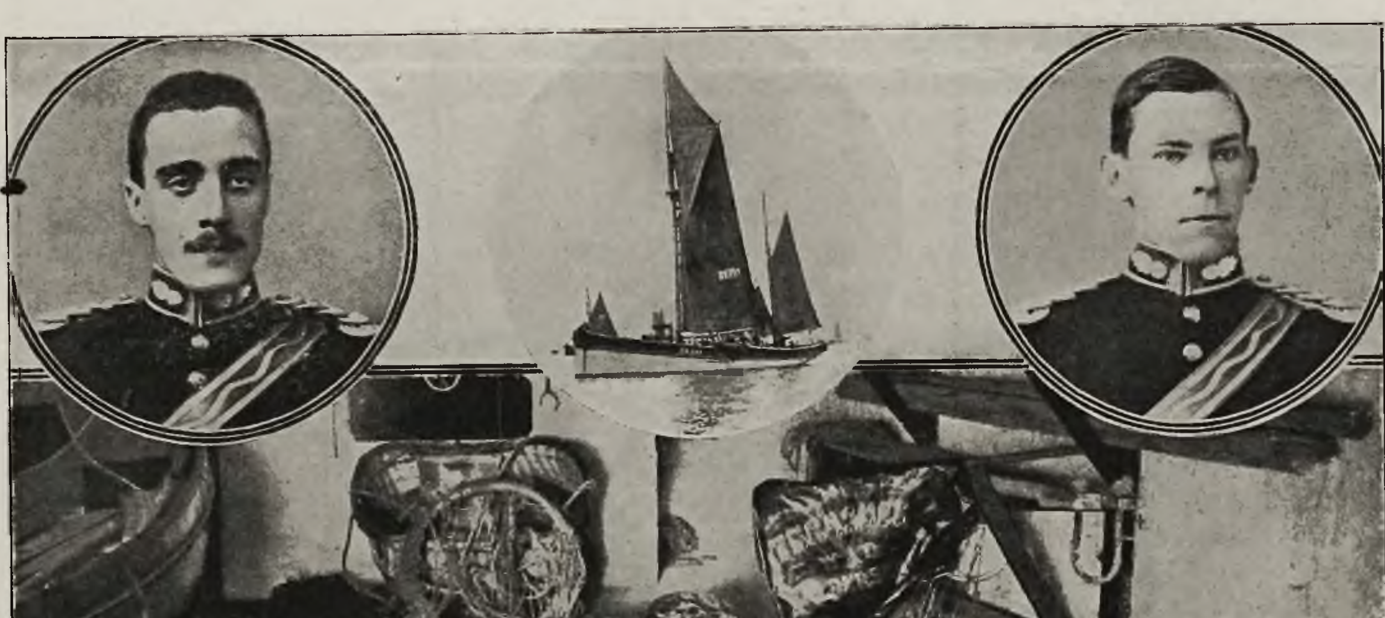
Henryk Titzel, zwany »Lew«. Karol Englert, zwany »Lipiec«. Michał Witczak.

Zamordowanie dyrektora fabryki w Łodzi: Mordercy dyr. inżyniera Rosenthala.

W tej chwili od ul. Elektoralnej wszedł na Leszno jakiś człowiek w mundurze urzędnika sądowego i natknął się właśnie na strzelającego. Nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, ujął winnego za kark i odebrał mu rewolwer. Odgłos strzałów zwabił z sąsiednich ulic policyę i tej oddał urzędnik sądowy przytrzymanego człowieka. Tymczasem reszta strzelających, nie zauważywszy nawet tego, co stało się z jednym z ich towarzyszów, oddaliła się pospiesznie przez ulicę Leszno.

Po krótkiej chwili przybyły na miejsce zamachu dwie dorożki z ajentami ochrony, którzy rozpoczęli „urzędowanie“ od tego, iż dali szereg strzałów z browningów w powietrze. Następnie rozbiegli się po mieście, aby szukać winnych; rannego ajenta zaś odwieziono dorożką do szpitala Ujazdowskiego, a uwięzionego do ratusza.

W chwilę potem panował już w tej części Warszawy spokój i jedynie ślady krwi ranionego ajenta były świadectwem burzliwego zajścia.



Ofiary sportu: Resztki balonu, portrety oficerów, którzy w nim zginęli, oraz podobizna wysłanego na ich ratunek statku. (Treść na str. 10).

Zamordowanie dyrektora fabryki w Łodzi.

Kronika krwawych morderstw, jakich widownią od dłuższego już czasu jest centrum fabryczne Królestwa Polskiego miasto Łódź, zwiększyła się świeżo morderstwem, spełnionem na osobie inżyniera Dawida Rosenthala, dyrektora wydziału mechanicznego fabryki tow. akcyjnego „I. K. Poznański“.

Morderstwa tego dokonano w ul. Zachodniej, w biały dzień, w chwili, gdy inż. Rosenthal powracał po obiedzie z domu do fabryki. Zabójcy napadli nań z tyłu; jeden z nich ujął go za kołnierz i utopił sztylet w piersiach ofiary. Ranny w serce inż. Rosenthal po kilku minutach wyzionął ducha. Mordercy zaś, sądząc z wyglądu, robotnicy, zdołali zbiedz.

Inżynier Rosenthal pracował już od lat kilkunastu w tow. akc. „I. K. Poznański“, początkowo jako kierownik, a następnie dyrektor wydziału mechanicznego i działalnością swoją zdołał sobie zjednać powszechne uznanie zarówno wśród urzędników firmy, jak wśród robotników. Dowodzi tego nawet okoliczność, iż podczas ostatniego lokautu w tej fabryce, inż. Rosenthal pozostał na stanowisku w Łodzi, podczas gdy cały zarząd fabryki wyjechał do Berlina, a nadto, że pod koniec lokautu on prowadził rokowania między właścicielami fabryki a robotnikami. Jakie więc mogły być pobudki, które kierowały ręką zbrodniarza, trudno dziś zrozumieć. Jest mniemanie, iż dzielny inżynier-dyrektor padł ofiarą

nowych nieporozumień, które w fabryce wybuchły, do których jednak on swojem postępowaniem w niczem się nie przyczynił.

Zmarły przeżył 40 lat; osierocił żonę oraz kilkuletniego synka.

Sprawcy strasznego mordu nie uszli ręki sprawiedliwości. Udało się ich wykryć i uwięzić w kilka dni po dokonaniu zbrodni.

Są to robotnicy: Henryk Titzel, zwany „Lew“, lat 35; Karol Englert, zwany „Lipiec“, lat 37 i Michał Witczak.

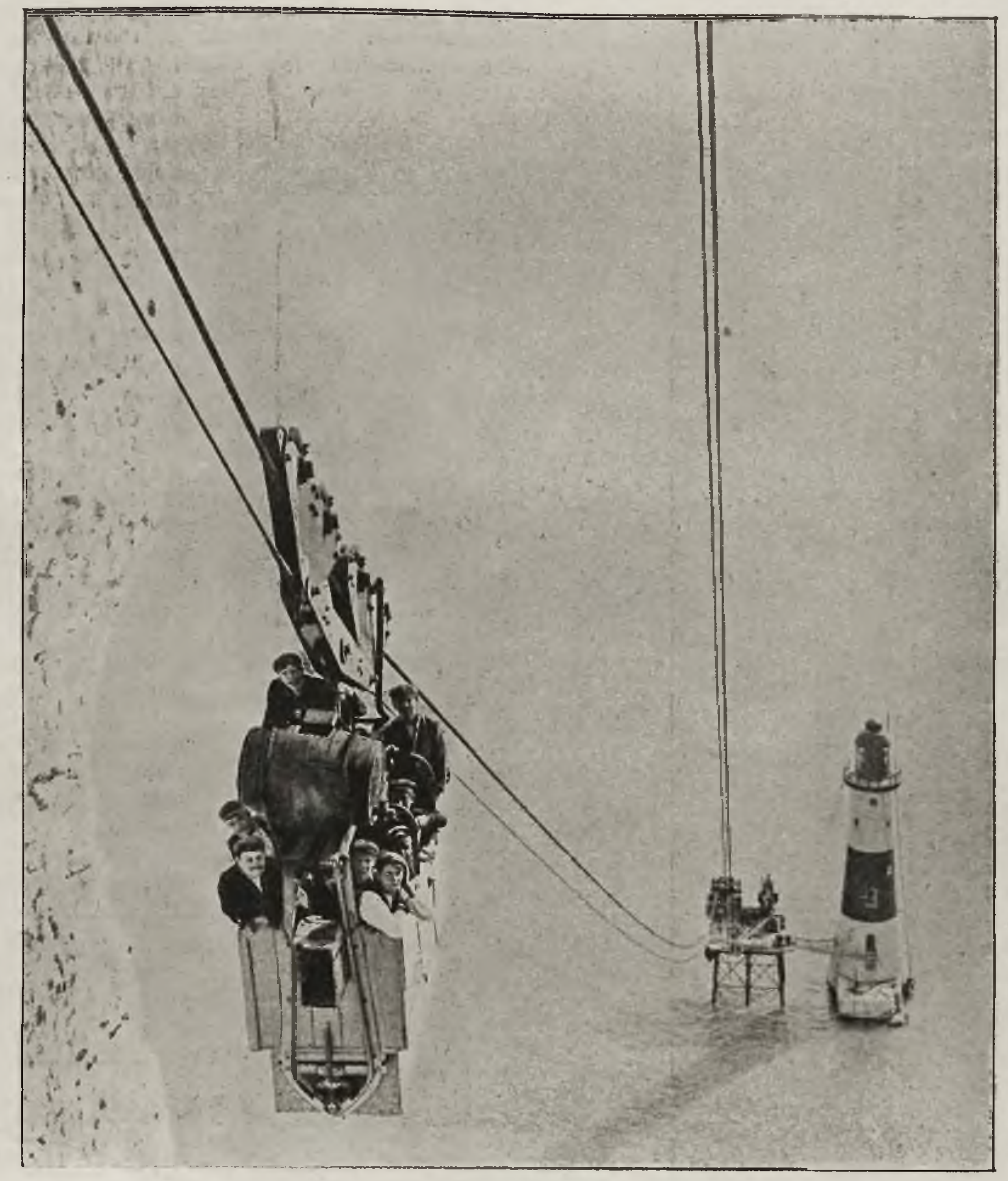
W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret zamordowanego inż. Rosenthala, oraz trzech jego morderców.

Zaszczytne odznaczenie.

Krakowskie towarzystwo strzeleckie, instytucya stara i mająca piękne wśród tutejszego mieszczaństwa tradycye, zamianowało na jednem z ostatnich posiedzeń swego wydziału, prezydenta miasta dra Juliusza Leo, honorowym członkiem „bractwa“. Zaszczytne to odznaczenie spotkało prezydenta w uznaniu jego wielkich zasług, położonych około rozwoju miasta.

W ubiegłą niedzielę w południe udała się deputacya tow. strzeleckiego z prezesem swym posłem dr. Walentym Staniszewskim, oraz królem kurkowym p. Janem Kwiatkowskim na czele, do mieszkania prezydenta, aby mu tam wręczyć dyplom członka honorowego. Dyplom ten przedstawia się nadzwyczaj okazale. Wykonany na pergaminie, ozdobiony jest śliczną i cenną akwarelą artysty-malarza Fałata, przedstawiającą baszty krakowskie, Wawel, oraz rondel Floryański, a na ich tle wspaniałego orła białego, który trzyma w szponach zwisającego na łańcuchach kura. Poniżej napis w gwarze starodawnej, opatrzony podpisami członków „bractwa strzeleckiego“.

Wręczając piękny ten dyplom, przemówił imieniem deputacyi dr. Staniszewski, podnosząc zasługi prezydenta dra Leo około rozwoju Krakowa, co właśnie było motywem uchwały wydziału tow. strzeleckiego. Przyjmując zaszczytne odznaczenie, wy-



W walce z oceanem. Połączenie koleją powietrzną z latarnią morską pod Eastbourne.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Zaszczytne odznaczenie: Deputacya Towarzystwa strzeleckiego wręcza prezydentowi Krakowa drowi Leo dyplom honorowy. 1. Prezydent dr. Leo; 2. pani prezydentowa Leowa; 3. poseł dr. W. Staniszewski; 4 Król kurkowy radca Kwiatkowski; 5. Ks. kanonik Drohojowski; 6. poseł Federowicz; 7. Radca Sulikowski; 8. Radca Beringer; 9. Architekt Biborski; 10. P. Czaplicki 11. P. ' wicz; 12. Inżynier Leon Zieleniewski; 13 P. Redyk; P. Armółowicz; 15. Dr. Gluziński; 16. Budowniczy Górski; 17. Dr. Kwieciński 18. P. Kulesza.

głosił prezydent dr. Leo dłuższe przemówienie, w którem wyraził podziękowanie towarzystwu strzeleckiemu oraz zapewnił o swem przywiązaniu dla miasta Krakowa.



Tomcio Paluch: P. Braun jako »Tomcio Paluch« obok ludożercy Karakuli (p. Szymański).

Po tej uroczystości podejmował prezydent członków deputacyi w swym gościnnym domu.

Zamieszczona obok rycina przedstawia chwilę wręczania dyplomu członka honorowego prezydentowi Leo.

Tomcio Paluch.

Teatr ludowy krakowski wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł wystawienia na swojej scenie fantastycznej a znanej powszechnie historyi o malutkim Tomciu Paluchu, o olbrzymim ludożercy Karakuli i jego siedmiomilowych butach. Baśń ta, pochodzenia francuskiego, a przetłómaczona w ciągu lat na wszystkie prawie języki, należy do bardzo popularnych i przez dziatwę szczególnie ulubionych. Z zaciekawieniem śledzi ona przebieg tragikomicznych przygód Tomcia, który dostawszy się wraz z licznem rodzeństwem w niewolę olbrzyma ludożercy, sprytem swoim, choć najmłodszy, uwalnia nietylko siebie, ale i rodzeństwo, a w końcu w cudowny sposób zdobywa koronę królewską. Baśń ta, uscenizowana doskonale, przeplatana śpiewami i tańcami, pochodami nimf i rusałek, zdobyła sobie wszędzie ogromne powodzenie. Towarzyszy ono również teatrowi ludowemu, którego dyrekcya dołożyła sporo trudów i usiłowań celem pokonania niemałych trudności technicznych i wystawiła „Tomcia Palucha“ bardzo pięknie.

Główną atrakcyą przedstawień „Tomcia Palucha“ w krakowskim teatrze ludowym jest przedstawiciel tytułowej roli, znany w Krakowie artysta-malarz, p. Leopold Braun. Malutki ten człowieczek, dzięki nadzwyczajnym wprost warunkom zewnętrznym, jest jakby stworzony na Tomcia Palucha. Wzrost prawdziwie lilipuci, główka maleńka ale kształtna, oczy żywe o sprytnym wyrazie, korpus zupełnie normalnie rozwinięty, choć drobny, ruchy pewne i śmiałe, głos silny, a przy tem wszystkiem inteligencya znacznie wyższa od wzrostu — wszystko to składa się na całość wyborną, idealną. P. Brauna trzeba widzieć na scenie, aby mieć należyte pojęcie o jego zdolnościach aktorskich. Trzeba widzieć tę malutką figurkę, w barwny odzianą kostyum, jak śmiało, jak pewnie posuwa się na deskach scenicznych, trzeba słyszeć, jak doskonale śpiewa dowcipne kuplety lub duet z uroczą „Poziomką“ (p. Frączkowska). Umie też pan Braun zachować królewską powagę, kiedy na jego głowę wkładają koronę a na mizerne ciało purpurę i gronostaj.

Obok p. Brauna zasłużyli na wyrazy szczerego uznania: p. Szymański, jako olbrzym-ludożerca Karakula, dyr. Pilarski, jako minister jego kuchni, pani Olska jako nimfa leśna Sylwana, panie Grafczyńskie, p. Boroński i inni.

Dyrekcyi teatru ludowego w Krakowie należy się uznanie za staranne wystawienie tej fantastycznej baśni. Nagrodą dla niej jest ogromne powodzenie, jakiem rzecz ta cieszyła się na wszystkich dotychczasowych przedstawieniach.



Tomcio Paluch: P. Leopold Braun, jako król w otoczeniu gnomów.

W walce z oceanem.

(Do illustracyi na str. 2.)

Latarnie morskie odgrywają niezmiernie ważną rolę w żegludze, będąc szczególniej na niektórych bardzo niebezpiecznych wybrzeżach, jedynymi punktami oryentacyjnymi w nocy. Żeglarz, zbliżając się do takich brzegów, z utęsknieniem oczekuje na owe silne promienie światła, wedle których może kierować swym statkiem, bez obawy natknięcia się na zdradne mielizny, lub podwodne rafy.

Niestety. może go spotkać los tylu innych zawodowych kolegów, którzy kierując biegiem statku pomylą się, bo dajmy na to, zagasło światło latarni morskiej z powodu nieudolności, lub jakiegoś zaniedbania ze strony człowieka, któremu powierzono tak ważny posterunek...

Przytem wszelkie władze, którym powierzono czuwanie nad całością latarni morskich, odznaczają się tem, że same z punktu teoretycznego widzenia biorąc, zdają się być lepiej informowane, niż ludzie, co spędzili całe lata w najbliższem sąsiedztwie tak silnego pana — jakim jest ocean. A więc tam, gdzie ostrzegano, aby nie budować latarni morskich, wznoszono je, pomimo że grunt się obsuwał.

Wreszcie władze morskie angielskie przyszły do przekonania, że latarnie morskie muszą być wznoszone tam, gdzie nie grozi im destrukcyjna siła morza. Jedną z nich zbudowano pod Eastbourne, w pobliżu przylądka Beachy Head.

Rycina, jaką podajemy dzisiaj, przedstawia ową właśnie latarnię morską i jej oryginalne połączenie z lądem. W czasie przypływu morza oblana jest ona zupełnie wodą, tak że dostęp do niej jest niemożebny. Zaprowadzono tedy między nią a lądem połączenie zapomocą linowej drogi górskiej, używanej już w wielu kopalniach. Odnośne liny stalowe mają po 5 cm. w przecięciu i mogą przenosić ciężar dochodzący do 120 ton, czyli 1,200.000 kg. wagi. Przejazd jednak na takiej drodze należy chyba do najbardziej działających na nerwy, o czem łatwo się przekonać z załączonego zdjęcia.

Walkę z oceanem podjęto, broniąc latarni morskich, czy jednak będzie miała dodatni rezultat, o tem dowiemy się później.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

27 Ciąg dalszy.

Spojrzał na zegarek: była godzina szósta. Pierwszą myślą jego było użycie swego służącego do zwerbowania szpiegów, ale zawahał się. Wprawdzie służący jego był Rosyaninem, ale zauważył, że był w dobrych stosunkach ze służbą polską, może się wygadać i rozniesie się po kamienicy, że on, sekretarz, najmuje szpiegów.

Idąc ulicą, zauważył szyld kantoru służących, postanowił spróbować szczęścia. Wszedł do ciemnawego pokoju, gdzie pod oknem przy stoliku, założonym papierami, zastał niemłodą kobietę, a na ławkach pod ścianą siedziało kilka kobiet i mężczyzn, kandydatów na służbę.

Gołubiew wszedł i wyraził żądanie najęcia lokaja.

Właścicielka kantoru z miną poważną otworzyła jedną, drugą książkę, a wywiedziawszy się szczegółowo, jakiego gatunku będą obowiązki i płaca lokaja, odezwała się:

— Mam dwóch... jeden służył w domach bardzo porządnych, bogatych, ale może być dopiero za trzy dni...

— Potrzebuję zaraz, chociażby dzisiaj.

— Ja mogę stanąć u wielmożnego pana od wieczora — wstał z ławki mężczyzna w zaniedbanem ubraniu, z twarzą zaniedbaną, z wyrazem łaszącej się pokory.

Gołubiew przeglądał świadectwa kandydata. Był to Jan Szal, odstawny żołnierz, który w ciągu czterech lat imał się rozmaitych zajęć. Był parobkiem w zajeździe, pomocnikiem ogrodnika, furmanem, usługiwał w restauracyi, ale jedno świadectwo zwróciło uwagę sekretarza, a mianowicie Jan Szal był przez pół roku służącym u naczelnika straży ziemskiej. Tam mógł przejść dobrą szkołę w pochwytywaniu słów i czynów nielegalnych.... Spojrzał na twarz Szala, lecz nie mógł wyczytać nic prócz nędzy, która wyzierała z policzków zapadniętych, z oczu głęboko osadzonych i pożółkłej cery.

— Wezmę cię na próbę — rzekł łaskawie i po zgodzeniu się wyszedł wraz z nim na ulicę.

Nastręczała się nowa trudność, dokąd go zaprowadzić, aby wyjaśnić mu obowiązki nowej służby. Po namyśle zdecydował się wstąpić do cyrkułu i znajomego komisarza prosić o pozwolenie użyczenia pokoju na kilka chwil.

Przy wejściu do biura cyrkułowego Szal zawahał się, na twarzy i w ruchach widać było niepokój i obawę, ale zachęcony przez Gołubiewa, wszedł śmiało, z miną wyzywającą.

Komisarz ustąpił chętnie pokoju.

— Ze świadectw twoich — rzekł Gołubiew — widzę, że nie będziesz dobrym lokajem, ale żal mi ciebie, abyś ginął z głodu. Jesteś sprytny, bywałeś w różnych miejscach, dam ci inną służbę. Czy umiesz czytać i pisać?

— Umiem, jaśnie panie — skłonił się Szal wpół.

— Zgodziłem cię: dziesięć rubli miesięcznie, na życie dam ci po pół rubla dziennie, ale musisz mi wiernie służyć i trzymać zawsze język za zębami.

— Słucham, jaśnie panie.

— Wyrobię ci miejsce na kolei, co zarobisz, tego ci nie potrącę... może dostaniesz 15, może 20 rubli...

— Jaśnie panie, życie oddam — zawołał z zapałem, z błyszczącemi pożądliwością oczyma — niech pan rozkazuje.

— Na kolei trzeba mieć oczy i uszy otwarte, pamiętać co mówią, jak mówią, kto z obcych przychodzi, czy otrzymują pisma, odezwy... i wszystko opowiesz mi wiernie.

— Rozumiem, jaśnie panie i już wiem, o co idzie... służyłem przecież u wielmożnego pana naczelnika straży ziemskiej, używał mnie do takich delikatnych spraw.

Gołubiew spojrzał na stojącego i uśmiechnął się, zadowolony ze swej znajomości ludzi.

— Dostaniesz miejsce na kolei nadwiślańskiej; od jutra na służbę, dam ci zaliczkę. Kup sobie lepsze ubranie, ogól się, oporządź.

— Słucham, jaśnie panie... ale...

— No?

— Kolej nadwiślańska duża, sam nie dam rady, jaśnie panie.

— A mógłbyś dostać pomocnika?

— Dlaczego nie, jaśnie panie. Znajdę chętnych, byle im dobrze zapłacić.

Gołubiew tak się zapalił do swego pomysłu, tak mu się uśmiechała myśl pozyskania względów Czerniejewa, że po krótkim namyśle zgodził się na pomocnika.

— Jutro o dziesiątej rano będziesz ze swym pomocnikiem na rogu Siennej i Wielkiej, pogadam z nim i zobaczę, czy przyda się na kolej; paszport i świadectwa niech przyniesie ze sobą. A teraz słuchaj: jeśli się zdradzisz, robotnicy cię ubiją; jeśli mnie zdradzisz, a na ciebie będzie miała policya i żandarmerya baczne oko, pójdziesz do więzienia. Służ wiernie i pilnie a nagroda cię nie minie.

— Będę wierny, jaśnie panie.

Dał mu zaliczkę i zadowolony, że wszystko udało mu się pomyślnie, poszedł na drugi dzień w umówione miejsce. Niewyraźny blondyn z wynędzniałą twarzą, z chytremi, niespokojnemi oczyma, został przyjęty na służbę; wręczył im bilet do dyrektora kolei z prośbą, ażeby obaj w dniu dzisiejszym zostali przyjęci na kolej, w takiem miejscu, gdzie gromadzi się większa ilość robotników.

Wskutek surowego rozporządzenia wojennego generał gubernatora zarządzano nagłe rewizye publiczności w zamkniętych przez wojsko ulicach, przedsiębrano rewizye mieszkań, a ulicami przesuwały się pod silnym konwojem wojskowym uwięzieni.

Te odezwy i rozkazy, ponaklejane na kamienicach z podpisem ojca, rozgoryczyły Kolę i jakkolwiek przyrzekł matce, że nie będzie wszczynał rozmowy drażliwej i stosunki jego z ojcem znacznie się polepszyły, nie mógł się powstrzymać i w dniu ogłoszenia rozporządzeń wszczął przy obiedzie rozmowę.

— Czyż można pozbawiać broni, nawet głupiej laski, ludzi narażonych na bezkarne rabunki złodziei i łotrów, których policya nie ma czasu pilnować, oddana cała węszeniu politycznych przestępców?

— Czyż istotnie wydałeś podobny rozkaz? — zwróciła się do męża.

— Nasi obawiają się zamachów i żądali tego — odpowiedział spokojnie.

Ten spokój podrażnił syna i patrząc na matkę, mówił dalej:

— Może dziś, może jutro zapłacimy mamo za rozbicie sąsiedniego sklepu monopolowego — uśmiechnął się ironicznie — albo też mama lub ja będziemy oskarżeni o współudział w zamachu, gdy w naszej obecności strzeli ktoś do policyanta, a my winnego nie schwycimy!

Ojciec spochmurniał i rzekł suchym tonem:

— Młokos jesteś... nie rozumiesz, co to jest rządzić milionem ludzi... sam nie poradzę, od tego są wydziały bezpieczeństwa i one są odpowiedzialne.

— Ale nikt o tem nie wie, bo na każdej odezwie tylko ojciec podpisany.

— Michale Mikołajewiczu - zaczęła żona z wymówką — i ty wydałeś podobne rozporządzenia, a gdzie sprawiedliwość? Karz surowo, ale winnych... a gdyby Kola był w pobliżu zamachu, gdzież jego wina? Nie rozumiem, jakim sposobem mogłeś podpisać coś podobnego... naprawdę, nie poznaję ciebie.

Generał spojrzał chmurny na oboje, powstał z krzesła i równym krokiem poszedł w stronę gabinetu.

— Już idziesz? — zdziwiła się żona.

— Wrócę.

Po chwili wszedł z książką protokołów posiedzeń i wręczył ją synowi.

— Zanim będziesz sądził ojca — rzekł — wpierw dobrze rozważ; na dowód twej omyłki możecie sobie przeczytać ostatni protokół... a teraz nie mówmy o tem.

Po obiedzie Kola z wielką skwapliwością odczytał głośno matce protokół posiedzenia, w którym najbardziej oburzył oboje Krasotin i Gołubiew ze swymi projektami.

— Kola, przeproś ojca — mówiła miękko — za twe posądzenia... O ile mógł, złagodził ich podłe zachcianki, sam widzisz... ale oni są odpowiedzialni za spokój i bezpieczeństwo i gdyby ojciec odmówił, zaskarżyliby go do Petersburga, popadłby w niełaskę... a może przypisywanoby mu winę za możliwe zamachy i straciłby miejsce.

— To byłoby najlepszem wyjściem -- zawołał podniecony.

— Ależ Kola, ty rozum tracisz — rzekła zgorszona — dla twego kaprysu nie może ojciec tracić stanowiska, zaniedbywać swych obowiązków. Kazano mu, on musi być posłuszny, jako żołnierz.

— Nie, mamo...

— Kola, zmiłuj się, milcz, jeszcze ojciec posłyszy. Ja usprawiedliwiam ojca, współczuję z nim i jeśli kogo nienawidzę, to Krasotina i Gołubiewa. Gdyby moja nienawiść mogła się w czyn zamienić, obajby nie żyli.

— No Kola — prosiła po chwili milczenia — odnieś ojcu książkę i powiedz dobre słowo... To twój ojciec, kocha cię.

— Tylko twemu rozkazowi mamo jestem posłuszny... nie znoszę niewolników — wstał i poszedł do gabinetu ojca.

Atmosfera domu była mu tak niemiłą, że wyszedł, mimo iż do spotkania się z Logiką miał godzinę czasu.

Na ulicach miasta ruch był stosunkowo słaby, natomiast przeciągały gęste patrole piesze i konne, a na trotuarach szli policyanci w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Gdy skręcił z Nowego Świata na Chmielną, żołnierze zamknęli nagle ulicę, a rewirowy w otoczeniu żołnierzy krzyknął do przechodzących:

— Ruki w wierch!

Przystanęli posłuszni, a jeden z młodych, jak widać z ubrania, robotnik, który przed sekundą wyszedł z bramy, podniósł ręce w górę nie czekając rozkazu i uśmiechnięty szedł w stronę rewidującego patrolu.

Na ten widok podniesionych rąk i rozbawionej miny, ci i owi zaśmiali się.

Spostrzegł to rewirowy i uderzył go w kark.

Oburzony Kola podszedł do rewirowego i podając mu swój paszport, zaczął po rosyjsku:

— Jak pan może popełniać takie wybryki?! to nadużycie!

— A panu co do tego? — oburzył się — milcz pan, bo i pan dostanie, a swój paszport schowaj pan, da go pan na mój rozkaz.

— Cicho! Nie krzycz! — zawołał Kola rozgniewany.

— Hej! W czast' jewo! — wskazał żołnierzom Kolę.

Żołnierze obstąpili go i czekali dalszych rozkazów rewirowego, który po skończeniu rewizyi i aresztowaniu żartującego robotnika, kazał ich prowadzić do cyrkułu.

Gdy jednak uprzytomnił sobie słowa i ton Koli, zrodziło się w nim przypuszczenie, że może uraził kogoś ważniejszego i rozkazał policyantowi, aby mu przyniósł paszport uwięzionego. Przeczytał i aż zachwiał się, a gdy odetchnął — zakomenderował:

— Stój! — podszedł do Koli z uniżoną miną i rzekł pokornie:

— Raczcie darować waszemu słudze... ale to z gorliwości służbowej i wśród tej hołoty polskiej trudno rozróżnić porządnych.

— Nie... proszę mnie prowadzić do cyrkułu, tam pogadamy.

— Ależ zlitujcie się panie, gdzieżbym ja też śmiał — rozkazał cofnąć się żołnierzom — wy panie swobodny.

— Jeśli nie chcesz mnie prowadzić, pójdę sam — i zwróciwszy się do swego aresztowanego towarzysza dodał: — chodźmy panie razem.

Rewirowy znów począł prosić, widząc jednak bezskuteczność, szedł w pewnem oddaleniu za idącymi, jak pies obity, czekający jeszcze nowych plag.

W cyrkule opowiedział komisarzowi o zajściu, co wzbudziło ogromne oburzenie urzędnika ze względu na nazwisko skarżącego.

Zawołanego rewirowego zekpał od ostatnich słów, zagroził dyscyplinarką, karą aresztu i bardzo pokornie przeprosił Kolę za nadużycie. Zarazem uwolnił aresztowanego robotnika, lecz po wyjściu obu rzekł do rewirowego:

— Bydlę jakieś... trzeba mieć głowę na karku i jak poczujesz, że to ktoś z naszych, tak ręce przy sobie i znaj uszanowanie... no, idź na służbę...

To przejście na ulicy rozjątrzyło bardzo Kolę i wzmogło jego nienawiść do Gołubiewa i Krasotina.

Równocześnie widział radosne oczy Wandy, gdy, jak postanowił, przystąpi do polskiej partyi socyalistycznej. To zacieśni więzeł pomiędzy nimi i da mu sposobność zbliżenia się do niej i czuwania nad nią.

Zawahał się jednak, wspomniawszy Logikę i Figurę.

— Trzeba się namyśleć, mam czas — mruknął do siebie, idąc po schodach do mieszkania Logiki.

Z powodu pobytu swego w cyrkule, spóźnił się. Dowiedział się od Wandy, że Logika wyszła z Figurą, a dla niego zostawiła list.

— Idziecie gdzie towarzyszko?

— Czekam na Porwę i brata, lada chwila przyjdą.

— Może wam przeszkadzam?

— W niczem i wolę wasze towarzystwo, bo nie dłuży mi się czas. Siadajcie... Czy rozpoczęliście już agitacyę?

— Dziś wieczorem będę w naszem kółku i jak mi donosi Logika nastąpi w niem podział pracy... A wy?

— Byłam na Nadwiślańskiej z odezwami naszemi, rozmawiałam z robotnikami, ale spłoszył nas żandarm.

— I o czem mówiliście.

— O bliskim strejku, o naszem pewnem zwycięstwie, o ważności chwili...

— Hm... wiecie towarzyszko, całą sztuką agitatora jest poznanie nastroju robotników, czego pragną, co im dolega, jaka krzywda ich boli... i nawiązując do tego, podaje się środki i sposoby.

— Zapewne macie słuszność — mówiła po namyśle — i w teoryi rozumiem to dobrze, lecz brak mi lekcyi poglądowej — zaśmiała się.— Jaka szkoda, że wy nie jesteście z nami!... — westchnęła.

— Nasze dwie partye tak mało się różnią między sobą, że moglibyście pójść do naszych i posłuchać jak mówią.

— Teraz nie czas na naukę, za sześć dni wszystko musi być przygotowane do strejku.

— Jeden dzień strata nie tak wielka — uśmiechnął się.

— Dobrze wam mówić, ale muszę być gotowa do posyłek, tam zajść, ówdzie przestrzedz... i ja nie marnuję wcale dnia.

Wszedł Porwa, Bal, a wkrótce Igielski; rozmowa stała się ogólną i zebrani rozstrząsali świeże rozkazy generał-gubernatora, przedrwiwając zbytnią drobiazgowość, która czyniła te zarządzenia niemożliwemi do przeprowadzenia w praktyce życiowej.

Kola słuchał w milczeniu, wreszcie gdy zaczęto mówić o pismach nielegalnych, których posiadanie groziło każdemu karą, rzekł:

— Odsłonię przed wami właściwe zamiary rządu... Pułkownik Krasotin, uzasadniając swój wniosek co do kar za posiadanie pism, odpowiedział na zarzut niemożliwości wykonania, że wcale nie myśli karać wszystkich, a rozkaz ten skierowany jest na podejrzanych politycznie, których się nie udało pochwycić na czemś karygodnem.

— Ach tak?! — zawołał Bal— wcale sprytny jest ten Krasotin, nawet za sprytny, bo któż z nas nie był lub nie jest podejrzany. Trzeba będzie ostrzedz naszych... Czy posiadasz więcej tak cennych wiadomości?

Kola prawie dosłownie powtórzył im przeczytany protokół, a uczynił to tem chętniej, że nietylko oddał przysługę przyjaciołom, ale i do pewnego stopnia usprawiedliwiał ojca.

— Gołubiewa zasługi wzrastają — uśmiechnął się Bal.

— Jeszcze czas — rzekł Porwa — nie zapominaj, że mamy osobiste rachunki z tym panem, a te wcale nie mogą wchodzić w rachunki partyjne.

— Możesz mi wierzyć, że oddzielę je sumiennie!...

— Już sam jego projekt względem kolejarzy polskich — odezwał się Igielski — zasłużył na kulkę.

— To są groźby — przemówił Porwa — a zanim zdążą wykonać, mogą zajść bardzo wielkie zmiany.

Wszczęli rozmowę o przygotowaniach do strejku, a Kola widząc pewne skrępowanie, pożegnał ich i wyszedł.

Wśród dyskusyi nad sposobami przeprowadzenia strejku, mówił Igielski:

— Kolej nadwiślańska jest jedną z pewniejszych. Wszystkie niemal niższe miejsca zajmują Polacy, a wśród nich mamy dużo uświadomionych towarzyszy. Ci sami poprowadzą agitacyę, idzie tylko o to, aby im dostarczyć naszej bibuły, zachęcić i do pewnego stopnia utrzymywać kontrolę zgromadzeń.

— Pozwólcie zająć mi się tem — prosiła Wanda.

— Hm... wy towarzyszko? — spojrzał Igielski badawczo — co prawda, nie wzbudzacie podejrzeń, ale jesteście za młoda, popełnicie nieostrożność i możecie wsypać kupę ludzi.

— Nie narażę nikogo — odrzekła zarumieniana Wanda — nazwisk i adresów nauczę się na pamięć a nawet promienie Roentgena nie pozwalają czytać w mózgu — uśmiechnęła się.

— Co prawda — zaczął Porwa — lepszych agitatorów rozesłaliśmy na linie, ale co do was towarzyszko sam nie mogę decydować — spojrzał na Bala.



Po obiedzie Kola odczytał głośno matce protokół posiedzenia.

Ten milczał chmurny, z jednej strony korzyści partyjne, a z drugiej narażenie siostry, wahał się, co spostrzegła Wanda i rzekła:

— Władku, czyż nie dałam dowodów, że umiem wykonać polecenie i milczeć?

— No tak... zresztą dobrze. Pierwszy raz pójdę z tobą i zobaczymy jak się sprawisz... Mamy zatem kolej nadwiślańską, teraz przystąpmy do petersburskiej.

Porozumiawszy się co do wszystkich dworców w Warszawie, Igielski wyszedł, a Porwa rzekł:

— Wiesz Balu, otrzymałem na dziś zaproszenie i chciałbym, abyś mi towarzyszył.

— Chętnie, a gdzie?

— Z Narodowej demokracyi Brejkowski i Szawelski prosili mnie porozumieć się z naszą partyą.

— I ty zgodziłeś się? — zdziwił się Bal.

— Czyż oni nie Polacy... Zresztą mam to przekonanie, że działają w dobrej wierze... Zwrócili się do mnie, jako do prywatnego człowieka i nie widziałem dobrej racyi odrzucić zaproszenie.

— No, tak... nie zaszkodzi poznać ich osobiście, zaciekawia mnie, czego oni chcą od ciebie, bo przecież i ich pisma i nasze polemizując wypowiedziały chyba wszystko.

— Pisma przeznaczone dla szerokich mas czytelników, mają z konieczności inny ton, inną argumentacyę... Zresztą obaczymy.

— A gdzie spotkanie?

— Na gruncie neutralnym, międzynarodowym— uśmiechnął się — w gabinecie u Norkowskiego.

— A wiesz nigdy nie spodziewałem się jeść z endekami kolacyi — śmiał się — i to z nimi, którzy nas ogłaszają zdrajcami ojczyzny, rabusiami, złoczyńcami itd. itd.

— Mój drogi, toć i nasze pisma nie szczędzą im przezwisk dosadnych — i spojrzawszy na zegarek dodał — już czas Balu, chodźmy.

— Idę... Wandziu, jutro o dziewiątej rano będę tutaj, pojedziemy na Nadwiślańską.

W jasno oświetlonym, eleganckim gabinecie zastali już dwóch mężczyzn. Jeden z nich blondyn, lat przeszło czterdziestu, szczupły, wysoki, lekko pochylony, z miną poważną, ubrany w anglez bez zarzutu, podał rękę przybyłym przedstawiając się:

— Jan Szawelski — a wskazując oczyma na krępego szatyna, z ciemnym zarostem na ożywionej twarzy dodał — mój przyjaciel, Witold Brejkowski.

Po wymianie nazwisk, gdy usiedli, a usługujący wyszedł po zamówione potrawy i napoje, rzekł Szawelski uprzejmie:

— Bardzo się cieszę, że pan przyjął moją propozycyę — mówił patrząc na Porwę — niegdyś spotykaliśmy się i pracowali zgodnie.

— Pamiętam... i zdaje mi się, że i dziś mamy wspólny cel, a zgoda nie jest niemożliwą w pewnych warunkach.

— Co do mnie lubię dyskusyę porządną — uśmiechnął się leciutko Szawelski — i zacznijmy wpierw od kwestyi zasadniczej. Nasze stronnictwo uświadamia cały naród polski, że w swej walce o byt może liczyć jedynie na własne siły, że na żadne kombinacye polityczne, na żadne sojusze nie może i niepowinno liczyć i od tej zasady nie odstąpimy.

— Bardzo słusznie — usmiechnął się Bal — gdyż i my nie oglądamy się na żadne interwencye, liczymy na własne siły i korzystając z ogólnego niezadowolenia i wrzenia w Rosyi, staramy się rozbudzić nasz naród, aby dążył do zrzucenia jarzma niewoli.

Ale wasze drogi, środki i sposoby, — odezwał się Brejkowski — osłabiają kraj, niszczą go, marnują siły i w chwili stanowczej wycieńczony kraj stanie się pastwą Rosyi.

— A dziś nią nie jest?! — zaśmiał się Bal.

— Moi panowie, porządek przedewszystkiem — rzekł Szawelski, podkręcając małe wąsy — jeśli tedy godzicie się, że naród musi liczyć na własne siły, więc siły te trzeba szanować, wzmacniać, podnosić, aby przy sprzyjających okolicznościach, nasz naród zaważył na szali, a warunkiem tej siły jest jedność. Jeśli potrafimy zjednoczyć naród pod hasłem obrony swej narodowości przeciw każdemu, kto dąży do jej zniszczenia, czy to będzie Rosyanin, Niemiec, Litwin lub Rusin, będziemy w możności powetowania nietylko trzech zaborów, ale wyjdziemy z tej walki silniejsi pod każdym względem. Żadnego więc rozdwajania sił, żadnych walk klasowych, żadnych wybuchów, które sprowadzą rządy militarne, a Rosya jest jeszcze dość silną, aby zdławić w krwi każdą rewolucyę.

— Z waszego punktu widzenia wy macie słuszność — mówił Porwa — żądacie jedności, aby przeprowadzić wasz program, a i my żądamy jedności, aby osiągnąć wolność kraju. Tylko, że wasza droga żąda od narodu bierności, wyczekiwania, znoszenia brutalnych i samowolnych rządów, aż do chwili, gdy ten rząd pod wpływem klęsk japońskich i wewnętrznych zamieszek, raczy łaskawie mniej silnie naciskać śruby gnębienia, a my dążymy do osłabienia rządu, do dezorganizacyi jego sił, do podniecania wrzenia, do prowadzenia walki na wszystkie strony, aż bezradny i osłabiony odda władzę w ręce narodu. (C. d. n.)

Z wystawy kolonialnej w Vincennes.

Często wprost zdumiewająca inteligencya słonia znanym była już faktem w starożytności. Od niepamiętnych też czasów człowiek chwytał słonie i po oswojeniu ich używał do rozmaitych celów. Ludy wschodnie uczyniły z nich groźnych zapaśników w swych wojskach, władcy tamtych stron przez używanie słoniów powiększali wspaniałość swych orszaków, ludzie zaś zamożni w południowej Azyi trzymają i teraz słonie jako zwierzęta domowe, bardzo pożyteczne ze względu na swą olbrzymią siłę. W Syamie zaś — jak wiadomo — pewien gatunek słoni, zwanych białymi, dostąpił nawet godności bóstwa.

Tysiące obiegających anegdot o sprycie słoni, o ich pojętności, skłonności do zemsty itd. świadczą, iż stoją one na równi, co do inteligencyi z psem i koniem, jeżeli nawet nie przewyższają tych starych, a doświadczonych przyjaciół człowieka. Ma się rozumieć, że odnoszą się one do słonia azyatyckiego, bo dotąd słonia afrykańskiego nie dało się, z małymi wyjątkami, oswoić. Sztukę oswajania tych słoni posiadali Kartagińczycy i Rzymianie, lecz zaginęła ona razem z nimi.

W Europie rzadko jednak mamy sposobność naocznego przekonania się, o ile słoń jest pożytecznem zwierzęciem, bo albo widzimy go w niewoli po menażeryach i zwierzyńcach, albo też po cyrkach, gdzie pokazuje karkołomne sztuki.

Natomiast wielce jest pouczającem widowisko słoni, zgromadzonych na francuskiej wystawie kolonialnej, jaką w tych dniach otwarto w lasku Vincennes pod Paryżem. Kornacy, czyli przewodnicy słoni potrafili tak ich wprawić, że umieją duże drzewa obalać i obłamywać z gałęzi i zanosić gdzie się im każe, zaś pnie, porżnięte piłą na części, przenoszą, za pomocą odpowiednio utwierdzonej liny, na daleką przestrzeń, a bez najmniejszego wysiłku. Usługi ich zatem przy karczowaniu lasów, oraz przy dostawie materyału drzewnego są nieocenione i to tem więcej, że słoń, pomimo swego ociężałego wyglądu, jest zwierzęciem bardzo zgrabnem, które nawet po takich drożynach przejść zdoła z ciężarem, gdzie o użyciu innych zwierząt pociągowych lub jucznych, nie mogłoby być mowy.

Anglicy oprócz tego zastosowali słonia w swej armii indyjskiej do przewożenia dział największego kalibru i potrzebnej do nich amunicyi. Przy polowaniu zaś na tygrysy słoń jest najlepszym sprzymierzeńcem człowieka, gdyż nietylko niesie go bezpiecznie na swym wysokim grzbiecie, ale także bierze czynny udział w walce z tym dzikim zwierzem.

Zamach stanu w Portugalii.

Stosunkowo długo panował w Portugalii spokój, w kraju, gdzie na wzór siostrzanej Hiszpanii, rewolucye domowe, popierane przez tzw. *„pronunciamento“* (bunt wojskowy), były od lat, mniej więcej stu, na porządku dziennym. W końcu jednak sprzykrzyła się Portugalczykom ta monotonia, a kto wie czy i ręka „przewrotnego Albionu“ nie wzięła udziału w tej nagłej zmianie usposobienia zarówno sfer rządzących Portugalii, jak i poddanych Don Carlosa I-go. Wiadomo bowiem, że Portugalia, raz jako jedno z ważniejszych miejsc zbytu dla handlu angielskiego, a dalej, jako sąsiadka w koloniach afrykańskich, mocno interesuje Anglików.

Wreszcie, czy tak było, lub inaczej, dość że Don Carlos zaszedł w ostry konflikt z pewną częścią swoich poddanych. W Portugalii istniały dawniej jedynie dwa wielkie stronnictwa polityczne i to stanowiło jej nieszczęście, bo każde z nich myślało o tem tylko, aby dojść do władzy, chociażby kosztem dobra kraju i jego najżywotniejszych interesów. Byli to tak zwani *„progresistas“* (liberali) i *„regeneradores“* (konserwatywni). Zasadniczo nie wiele różnili się między sobą, natomiast na tle drobnych kwestyj polityki wewnętrznej i związanych z nią spraw osobistych, zwalczali się i zwalczają z całym temperamentem, właściwym ludom południowym.

Z biegiem czasu zaczął się jednak wyłaniać z szeregów liberalnych odłam, który otwarcie przemawiał za zmianą obecnego ustroju rządów monarchicznych w Portugalii z zamienieniem go na republikański.

Trochę więcej, niż rok temu stali u władzy konserwatyści. Prezydent ówczesnego gabinetu Ribeiro, pragnął rozwiązać Kortezy w tym celu, aby sparaliżować agitacyę republikańską. Tymczasem król na to się nie zgodził, Ribeirze udzielił dymisyi, a utworzenie nowego gabinetu powierzył Janowi Franco. Ten zdołał koło siebie zgromadzić stronnictwo, które przyjęło nazwę „koncentracyi liberalnej“, powstawszy z rozbitków stronnictwa „progresistów“ i republikanów.

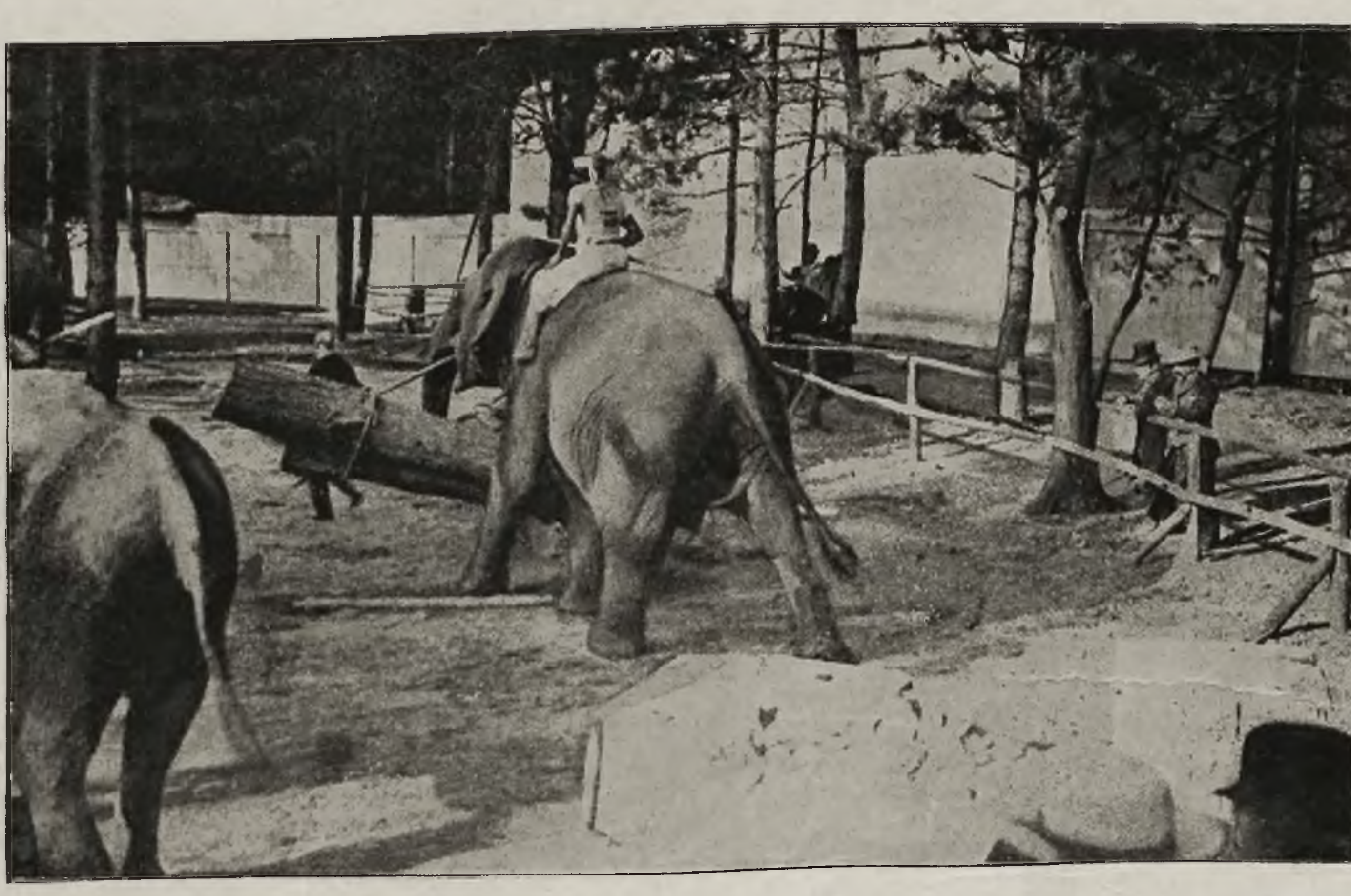
Pomimo tego, że nowy gabinet wywiesił na swym sztandarze hasła nietylko postępu, ale także sięgających daleko reform społecznych, na których brak tak bardzo cierpi Portugalia, nie zdołał znaleść dla siebie poparcia w Izbie. Doradził wtedy Franco królowi, aby rozwiązał Izbę, bez oznaczenia terminu nowych wyborów. Don Carlos poszedł za jego radą w końcu ubiegłego miesiąca i w ten sposób Portugalia znalazła się bez rządów konstytucyjnych, które zastąpiła dyktatura na poły cywilna, na poły wojskowa.

Pragnąc pozyskać sobie opinię kraju, król wydał dekrety, na mocy których podwyższone zostały znacznie pensye oficerów i podoficerów armii czynnej i urzędników cywilnych, uniwersytetom zaś przyznano mnóstwo stypendyów do rozdania między dynastycznie usposobioną młodzież. Jednem słowem, Don Carlos dokonał zamachu stanu, nie bacząc na przysięgę, jaką złożył wstępując na tron a gwarantującą zachowanie konstytucyi.

Krok taki nie mógł nie wywołać w całym kraju oburzenia i to tem groźniejszego, że przeciw królowi, oraz rządzącemu samowładnie prezydentowi ministrów Franco, zawiązała się koalicya, złożona z czystej krwi republikanów i konserwaty-



Z wystawy kolonialnej w Vincennes: Słonie zebrane w parku wystawowym.



Z wystawy kolonialnej w Vincennes: Słoń dźwigający olbrzymi pień drzewa.

stów. Posypały się protesty, jeden mityng za drugim odbywają się po całym kraju, a na końcu malkontenci podnieśli hasło: „Precz z Don Carlosem! Niech żyje król Miguel!“

Opozycya, która główne swe oparcie znalazła w Izbie panów z generałem Baracho na czele, przypomniała sobie, że w Austryi mieszka i jest oficerem w czynnej służbie książę Miguel (Michał) Braganza, syn króla także Miguela, którego lat temu siedmdziesiąt zmuszono do zrzeczenia się tronu portugalskiego i opuszczenia ojczyzny. Otóż wysuwa go ona obecnie, jako kandydata do korony królewskiej po Don Carlosie, który jej zdaniem, powinien zostać zdetronizowany. Miguel liczy obecnie lat 54. jest pułkownikiem 7-go pułku huzarów i rezyduje na zamku Seebenstein w Austryi dolnej. Siostra jego Marya Teresa była trzecią żoną zmarłego arcyksięcia Karola Ludwika, brata cesarza Franciszka Józefa.



Zamach stanu w Portugalii: Król portugalski Don Carlos I-szy.

Obecny król portugalski, Carlos I-szy, urodził się w 1863 roku a ożeniony jest z Amalią, księżniczką Orleańską. Dawniej cieszył się dużą sympatyą swych poddanych. Dziś jego przeciwnicy czynią mu ostre zarzuty, a nawet oskarżają go o to, że sprzedał klejnoty koronne, aby popłacić swe prywatne długi.

Jaki będzie wynik zamachu stanu, dokonanego przezeń — trudno przewidzieć na razie, jednakże to jest pewnem, iż cała Europa z wielkiem zajęciem śledzi przebieg spraw na zachodzie półwyspu Pirenejskiego. Dlatego też podajemy portrety zarówno króla Don Carlosa, jak i przypuszczalnego pretendenta do jego tronu, ks. Miguela Braganzy.

Otwarcie Sejmu finlandzkiego.

Pierwsze kroki każdego nowoobranego ciała parlamentarnego stanowią przedmiot ogólnego zainteresowania się, powszechnej ciekawości. Interesuje się więc nimi całe społeczeństwo, z którego posłowie wyszli, interesują się dalej politycy zagraniczni, interesuje się wreszcie prasa całego świata. Toż samo było i z Sejmem finlandzkim, który w nowym składzie rozpoczął niedawno obrady, zwłaszcza że w gronie posłów znalazły się tam po raz pierwszy kobiety.

I tak przybyła do Helsingforsu na uroczystość otwarcia nowego Sejmu finlandzkiego deputacya Koła polskiego Dumy z Petersburga, złożona z pp. Dembińskiego i Bryndzy-Nackiego; towarzyszył im korespondent p. Dworzaczek. Deputacya wyraziła prezydyum Sejmu w imieniu Koła polskiego Dumy pozdrowienia, oraz życzenia pomyślnych wyników w pracy. Rycina, którą obok zamieszczamy, przedstawia właśnie członków deputacyi Koła polskiego; między nimi stoi p. Dworzaczek.

* * *

Równocześnie z deputacyą polską przybyli delegaci innych krajów. Na zamieszczonej obok rycinie widać korespondenta pism angielskich pana Williamsa, schodzącego po schodach z torbą, oraz kilka kroków dalej na prawo delegata ze Szwecyi. Zdjęcie to zrobione na dworcu w Helsingforsie.



Zamach stanu w Portugalii: Ks. Miguel Braganza, pretendent do tronu portugalskiego.

Konik zwierzyniecki

Mają swoje tradycye narody całe, mają je i poszczególne miasta, a nawet i rodziny. I Kraków więc, prastara stolica Polski, wyniósł z pomroki dziejowej sporo legend, mniej lub więcej prawdziwych, a czasem nawet zgoła zmyślonych. Do tradycyi, których historyczna podstawa jest więcej niż wątpliwej wartości, należy doroczny obchód „Konika zwierzynieckiego“, popularnie „lajkonikiem“ zwanego

Legenda głosi wprawdzie, iż obchód ten ustano-



Otwarcie Sejmu finlandzkiego: Delegaci, przybyli na otwarcie Sejmu finlandzkiego, wychodzą z dworca w Helsingforsie.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Otwarcie Sejmu finlanndzkiego: Delegaci Koła polskiego Dumy petersb.: 1. p. Dembiński, 2. korespondent Dworzaczek, 3. p. Bryndza-Nacki.

wiony został w czasach zamierzchłej przeszłości na pamiątkę odparcia napadu Tatarów w r. 1281 za Leszka Czarnego, badania naukowe jednak wykazały później, iż pierwsze obchody „Konika zwierzynieckiego“ sięgają zaledwie końca XVIII. w.

Pomijając jednak kwestyę historyi, przyznać należy, że „lajkonik“ jest jedną z najsympatyczniejszych uroczystości ludowych. Mieszkańcy przedmieścia Zwierzynieckiego, oraz ludność Krakowa zżyła się z „lajkonikiem“ i dzień jego wjazdu w mury miasta, jest świętem ludowem.

Około 5 popołudniu rusza „Konik zwierzyniecki“ z klasztoru PP. Norbertanek na Zwierzyńcu do Krakowa. Sam on przybrany w strój tatarski, obecnie wcale okazały i stylowy; na głowie ma turban, owijany sznurami pereł, korali, drogich kamieni; szaty o jaskrawych barwach, drewniany koń, okryty aksamitnym czaprakiem, oraz gumowa buława dopełniają całości ekscentrycznego ubioru „lajkonika“. Otoczenie jego również w podobnych, choć nie tak wspaniałych strojach, dźwiga kilka buńczuków, oraz dużą chorągiew cechu włóczków krakowskich. Towarzyszy im kapela janczarska, której najgłośniejszym instrumentem jest.... bęben.

Wśród hałasu cisnącej się gawiedzi, przy dźwiękach monotonnie dość przygrywającej kapeli, przeciąga „lajkonik“ ulicą Zwierzyniecką, zatrzymując się w pewnych odstępach i rozpędzając buławą hałaśliwych andrusów. „Lajkonik“ umie jednak być i uprzejmym; kiedy otrzyma od przechodniów, lub widzów jaki datek, kłania się grzecznie, chorągiew cechowa pochyla się głęboko, a ukłonom tym towarzyszy głośna fanfara kapeli. Od czasu do czasu wstępuje „lajkonik“ do przydrożnych szyneczków i tam raczy się sowicie wraz z całą świtą. Nic dziwnego też, że na przebycie drogi od klasztoru do rynku krakowskiego potrzebuje przeszło trzech godzin czasu.

W Krakowie dalszy ciąg zabawy. „Lajkonik“ zdąża placem Franciszkańskim i ul. Bracką do rynku. Po drodze składa hołd przed pałacem biskupim, następnie przed „Baranami“. Wyprawia też wesołe harce, tańczy i okłada gawiedź buławą. Radość i uciecha stąd wśród tłumów, zebranych w mieście, trudna do opisania. A kończy się to wszystko dobrze po 9 wieczór, w gościnnym handlu p. Hawełki.



»Konik Zwierzyniecki«: Ogólny widok pochodu. Fot. aparatem redakcyjnym W. Ls



»Konik Zwierzyniecki«: Harce »Konika Zwierzynieckiego« przy dźwiękach specyalnej kapeli przed jednym z przydrożnych szynków. Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

„Kawalerya“ na bawołach.

Potrzeba jest matką wynalazków — jak słusznie mówi przysłowie. Tam np. gdzie okazało się niemożebnem z rozmaitych przyczyn używanie koni do celów wojskowych, zastąpiono je bawołami, które wprawdzie nie odznaczają się szybkim chodem, ale zato po bagnistych ścieżkach wyspy Borneo przeprawiają się daleko lepiej, niż konie.

W części północnej Borneo, która należy do Anglii, już od niepamiętnych czasów, tubylcy posługiwali się pewnym gatunkiem niedużych bawołów, jako wierzchowcami i zwierzętami jucznemi do przewozu towarów. Są one ogromnie wytrwałe i silne — pomimo swej niepozornej postaci. Konstrukcya zaś ich racic pozwala im daleko łatwiej, aniżeli koniom, wspinać się po oślizgłych pochyłościach gór i bagnistych zaroślach. Jeszcze jedną wyższość posiadają bawoły nad końmi, a mianowicie, że znoszą daleko lepiej raz bardzo suchy, drugi raz wilgotny a zawsze niezmiernie wysoki klimat wyspy Borneo, gdzie przeciętna temperatura najchłodniejszych miesięcy w roku wynosi + 26·7° C., a opad deszczowy waha się między 3630 a 2350 mm. rocznie. Jako porównanie warto sobie przypomnieć, że na terytoryum dawnej Polski przeciętna roczna temperatura wynosi +7° C. a opad deszczowy równa się 400 mm.

Oryginalne zdjęcie, jakie illustruje niniejszy artykulik, przedstawia oddział wojsk angielskich, sformowanych z tuziemców wyspy Borneo, a mianowicie z pokolenia Dajaków. Prezentują się oni wcale dobrze na swych oryginalnych wierzchowcach, typ zaś ich umundurowania odpowiada typowi wszystkich wojsk kolonij angielskich. Kółko umieszczone w nozdrzach bawołu, zastępuje munsztuk, używany dla koni.

Na myśl sformowania tej osobliwej „kawaleryi“ wpadł major Harington, dowodzący obecnie w angielskiej części wyspy Borneo. Dotąd, wedle doniesień dzienników angielskich, „kawalerya“ na bawołach oddała już znaczne usługi, będąc używaną, jako rodzaj policyi, wewnątrz mało dostępnego, a często niespokojnego kraju.



»Konik Zwierzyniecki«: »Konik Zwierzyniecki« w pochodzie przez ul. Zwierzyniecką. Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.



»Kawalerya« na bawołach: Wojsko kolonialne angielskie na wyspie Borneo.

Zachodzi przypuszczenie, że i w tym wypadku jak i w tym, który prawie równocześnie zdarzył się w Rzymie przy wzlocie balonu wojskowego, aeronauci — użyjmy raz wyrażenia: żeglarze powietrzni — padli ofiarą tych ciał, które tak często przebiegają atmosferę naszego planety, a zwane są aerolitami. Ciała te, oczywiście kamienie, spotkawszy się z balonem, przebijają jego powłokę i powodują katastrofę przez gwałtowny upływ gazu.

Środkowy obrazek załączonej ryciny, przestawia statek, który wysłano na ratunek śmiałym żeglarzom powietrznym. Niestety jednak usiłowania jego załogi, aby przyjść im z pomocą, nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Zginęli oni, jako ofiary sportu, boć przecie ich ryzykowna podróż powietrzna nie mogła mieć praktycznego celu.

Wypadek szczególny.

Słusznie powiedział jeden ze złośliwych dziennikarzy, że „zawód“ królewski teraz się nie opłaca, bo stanowczo podaż przewyższa popyt. Daleko mniej jest królestw, aniżeli pretendentów do ich tronów. Jednakże są jeszcze amatorowie, którym blask korony jest tak drogi, tak imponujący, że poświęcają zań miły spokój, którego mogliby używać, nie wstępując na progi tronu, skąd droga prowadzi na szafot, o czem zresztą wiedzą niezawodnie interesowani.

Na przykład ostatnimi czasy wstąpił na nowokreowany tron norweski król Haakon, który rozpoczął odwiedzanie panujących europejskich od.... prezydenta francuskiej Rzeczypospolitej.

Pan Faliéres był w tym razie, jak i jego poprzednicy, bardzo „wzorową głową“ wielkiego mocarstwa. Nowy król odpowiadał mu tą samą dozą grzeczności.

Nie brakowało w czasie trzechniowego pobytu norweskiej pary królewskiej w Paryżu ani jednego momentu, któryby obniżył doniosłość tej chwili, jednakże zdarzył się wypadek tego rodzaju, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za rodzaj zamachu. Król i królowa norwescy, jadąc w towarzystwie prezydenta do Wersalu, znaleźli się w tem położeniu, iż musieli wysiąść z pojazdu, bo... koń się utopił!

Gdyby się coś podobnego zdarzyło np. w Galicyi albo Kongresówce, no to możnaby przyjąć fakt do wiadomości bez szczególnego zdziwienia. Ale pod Paryżem!

Na szczęście zarówno król, jak królowa, jak i ich gospodarz, wyszli cało z wypadku, który tylko dzięki temu, że woźnica na czas zatrzymał konie, nie przybrał groźniejszych rozmiarów. Król Haakon mógł bowiem postradać swe życie, nie oczekując na losy, jakie spotkają go we własnem państwie.

Ofiary sportu.

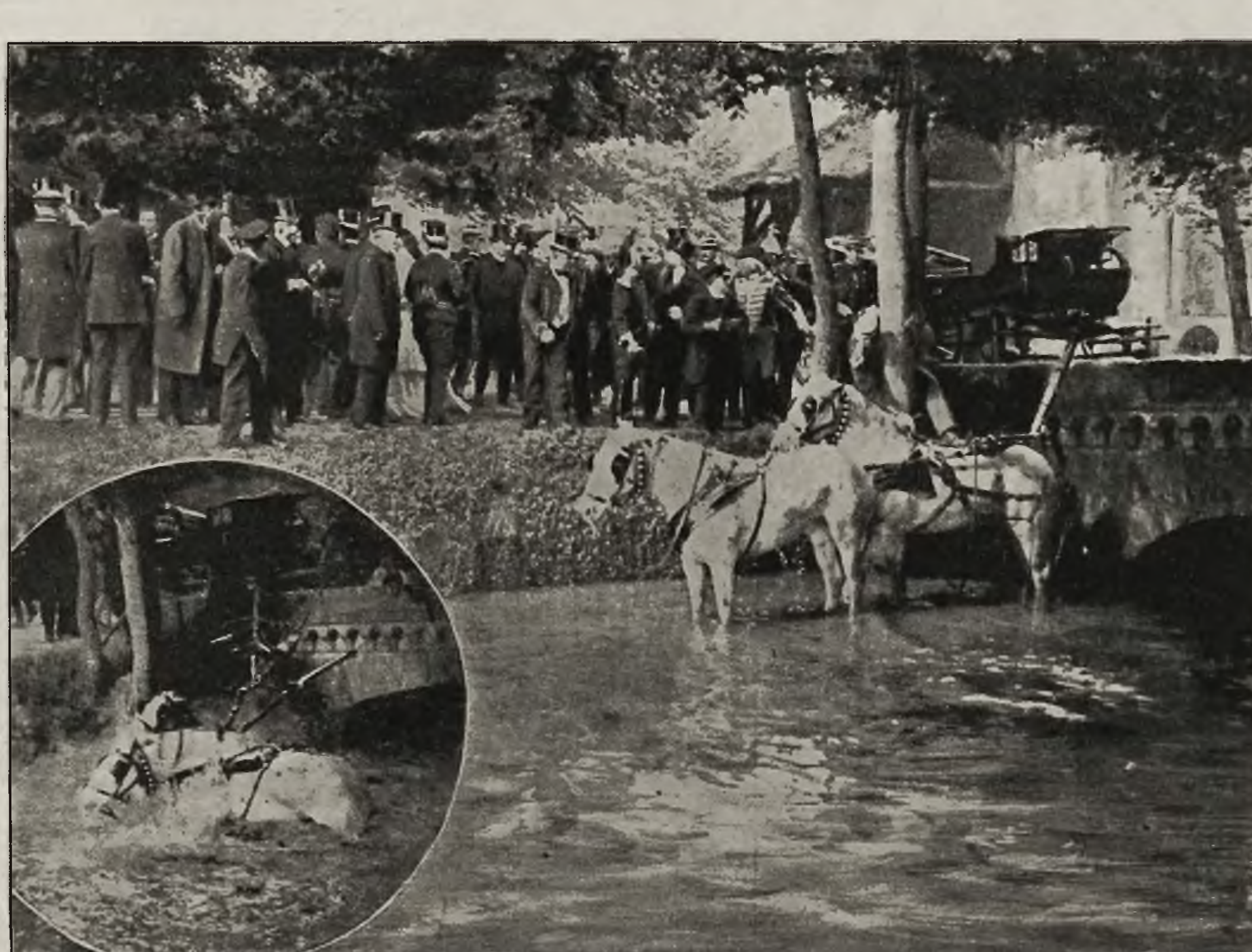
Anglia przyjmowała niezmiernie uprzejmie księcia Fuszimę, kuzyna Mikada. Nie byłoby się tak oczywiście stało, gdyby nie gwałtowna przyjaźń, jaką teraz zawarła Wielka Brytania z państwem „Wschodzącego słońca“, rachując oczywiście na jego pomoc w razie nieuchronnej walki z Rosyą...

Otóż nie brakło przy podejmowaniu gościa zwykłych ceremonii. Było przyjęcie przez lorda-majora Londynu, przegląd wojsk w Aldershot, wycieczka balonem itd.

Niestety jednak najpiękniejsze nawet chwile tego rodzaju zabaw zwykle miewają odwrotne strony. I tym razem także zdarzyło się, że dwaj oficerowie angielscy, porucznicy: Leake i Caulfield, padli ofiarą. Wznieśli się oni w powietrze na balonie „Trasher“ najnowszej konstrukcyi o 10.000 m^3 pojemności i zapędzeni nad kanał La Manche wpadli do morza.

Prawdopodobnie rachowali oni na to, że silny podówczas panujący wicher zapędzi ich do Francyi. Stało się jednak inaczej, bo przy dzisiejszym stanie aeronautyki, nikt nie jest w możności przewidzenia, dokąd zapędzą go prądy powietrzne. Dotąd człowiek nie zdobył jeszcze przestrzeni powietrznych i nad niemi panować nie może.

Wymienieni wyżej oficerowie oddziałów inżynieryi (podajemy ich portrety) zginęli, a resztki balonu, którym się wznieśli, spadły w okolicach Abottsbury.



Wypadek szczególny: Jeden z koni pojazdu, którym jechała norweska para królewska, topi się pod Wersalem.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

10 (Ciąg dalszy).

Jakiś człowiek w czapce liberyjnej, który stał przed drzwiami, powitał go jak dobrego znajomego i wszedł za nim do sieni, zamykając drzwi za sobą. Jaminot odetchnął teraz głęboko! Był znowu rzeźki i pełen energii! Lecz pomimo zniecierpliwienia, starał się zapanować nad sobą i rozmyślał.

Trzeba było teraz prowadzić rzecz bardzo ostrożnie, nie nagląc, żeby nie popełnić jakiegoś nieodwołalnego głupstwa. Przecież nie mógł wpaść tam za nim do mieszkania — przedstawić się.... opowiedzieć co go sprowadza — wywołać zamięszanie... może wyrzucenie za drzwi... Bo przecież nie miał do czynienia z kolegami, ani z paczką złodziei i łotrzyków! To było widoczne! Ho! ho! Jaminot, mój stary! Ostrożnie, ostrożnie! bo możesz stracić ślad na który wpadłeś przypadkowo... Zimnej krwi i odwagi. Tak łatwiej dojdziesz do końca... tak, ale to może iść powoli, a tego sobie Jaminot nie życzył. Co więcej, narobiło by tu rozgłosu, niepotrzebnego hałasu! A do tego za żadną cenę nie należy dopuścić, aż coś pewnego w rękach mieć będzie. Ajent z głową spuszczoną zatopiony tak w myślach, że o bożym świecie zapomniał, powlókł się dalej, mrucząc pod nosem.

O godzinie ósmej wieczorem (a od dwóch już myszkował, upatrując w pobliżu wyjścia z domu jakiego służącego) Jaminot w czarnym garniturze, w czarnym krawacie, z dużym portfelem pod pachą przystąpił do drzwi domu, w chwili gdy właśnie wychodził z niego jakiś człowiek z paczką w ręce. Był to ten sam służący.

Jaminot przystąpił do niego grzecznie, przedstawiając się jako pomocnik adwokacki, w poszukiwaniu za pewną młodą osobą w sprawie spadkowej... i zupełnie naturalnym głosem zapytał służącego czy panna Janina... Janina... Oh! jakże to... zapomniał widocznie.

Mówiąc to sprytny ajent udawał, że szuka zapisanego w portfelu nazwiska, a tymczasem umiejętnie podsunął służącemu pod oczy koniuszek fotografii zmarłej.

— To Joanna Bernay — rzekł nie domyślając się podejścia służący, rzuciwszy okiem na fotografię.

— Tak! tak Bernay, napewno Bernay! Jakże mogłem zapomnieć!

Po tylu niepowodzeniach i stracie czasu trzymał nareszcie tajemnicę w ręku. Jaminot'owi dnia tego szczęście najwidoczniej sprzyjało. Natrafił na towarzysza naiwnego, niepodejrzliwego, lubiącego dużo mówić... Bez najmniejszego wysiłku, nie potrzebując wymyślać jakiego pozoru, ajent mógł bezpiecznie towarzyszyć swojemu przygodnemu znajomemu, który miał do załatwienia kilka ważnych i spiesznych poleceń. Za powrotem Jaminot zaprosił służącego, któremu się ciągle jeszcze spieszyło, na kieliszek wina, czemu ten oczywiście nie mógł odmówić. W pustym pokoju nędznej restauracyi, Jaminot zachodził z różnych stron naiwnego towarzysza, lecz zawsze ostrożnie i przebiegle, żeby go nie zrazić natarczywością i zjednać go sobie w ten sposób, że sam poprosił go o rendez-vous na dzień następny. Kazimierz, tak się nazywał ów służący, miał ten dzień właśnie wolny od zajęcia.

Po rozejściu się z nim, Jaminot natychmiast zatelegrafował do szefa i poszedł położyć się, przekonany święcie, że noc tę spędzi spokojnie. Wręcz przewidywaniu nie zmrużył nawet oka.

Jaminot wydał był wielki okrzyk zdziwienia i rozczarowania usłyszawszy dnia tego od Kazimierza „że nauczycielka od połowy stycznia nie pracowała już u swojego chlebodawcy“ i zapytał najspokojniej w świecie, czy nie wie gdzie mogła się teraz obracać, bo chciał się z nią widzieć, a na odpowiedź przeczącą służącego, dodał z najwyższym cynizmem:

— A zresztą! Co sobie będę tem głowę zawracał! Wypełniłem to, co mi polecono—nieprawdaż? Już oni sobie tam dadzą sami radę. Ot! ani mi się marzy szukać jej! Co mi z tego przyjdzie, że będę dla kogoś buty darł po bruku. Mam zasadę czynić tylko to, co jest mi wyznaczone. Zbytnia gorliwość w służbie nie opłaca się. Przekonałem się już nieraz o tem.

Szczerem tem wyznaniem zjednał sobie do reszty fagasa.

— Całe szczęście, że nie przyjechałem umyślnie w tej głupiej sprawie — mówił Jaminot dalej — ładnie bym się ubrał! Dobrze że choć załatwiłem pomyślnie inne interesa, którymi mnie obarczyli... Mam jeszcze coś na pojutrze do załatwienia, ale jutro jestem wolny! Chciałbym się trochę zabawić... no, nie z kobietami... tylko tak sobie, zjeść gdzieś dobry obiadek, a potem pójść na jakie przedstawienie... A samemu to nie bardzo wesoło! Nie znam tu nikogo... Gdybyś tak pan mógł się uwolnić, co? ośmieliłbym się poprosić pana o towarzyszenie mi... ale to niemożliwe, prawda?

Okazało się, że to było bardzo możliwe a Kazimierz był zachwycony nowym przyjacielem. O umówionej godzinie, siedział służący trochę niespokojny w restauracyi Royale i wyglądał oknem. A jeżeli pisarz adwokacki zadrwił sobie z niego? Niepotrzebnie się niepokoił. Jaminot stawił się słownie. Jeszcze przedtem zamówił był dwa krzesła parterowe w teatrze Galeries Saint Huberd, gdzie dawano właśnie wesołą operetkę. Zamówił nawet trzy krzesła, aby go jaki sąsiad nie podsłuchiwał, ale naturalnie nie zdradził się z tem przed Kazimierzem. Rozmawiano przy obiedzie o wszystkiem, o pogodzie, o drożyźnie mieszkań, o przyjemności jakie daje duże miasto, w końcu o szalonych wymaganiach pryncypałów względem niższego personalu. Pito przytem obficie.

Jaminot rozmyślnie zatrzymał się dłużej na temacie stosunku zwierzchników do podwładnych.

— Ale a propos — rzekł niedbale — ta panna Bernay nie musiała dużo zarabiać?

— Coś koło 150 franków przy końcu.

— No już nieźle jak na kobietę.

— Tak pan sądzi! Po sześciu latach pracy w tym samym domu mogła się była więcej dorobić.

— O! aż sześć lat?

— Tak, najmniej. Pani ją przywiozła z jakiejś podróży. Była francuzką, bardzo grzeczną i uprzejmą dziewczyną, i przytem sierotą, jak się później okazało... Jakże panu smakuje to wino?

— O nadzwyczajnie! Cóż dalej?

— W wasze ręce! A co, pani, która nie jest złą kobietą, ale wymagająca, oh! okropnie wymagająca, nie wiele jej tam płaciła. To prawda, że ją przygarnęła i bardzo lubiła. Przecież naraz nie można znowu kogoś wszystkiem obdarzać. A kiedy pan, który miał również dla niej wiele przyjaźni, umarł, nasza panienka jeszcze się bardziej do niej przywiązała... nie chciała nawet słyszeć o rozłączeniu się z nią...

— Co za panienka?

— Panna Matylda do dyabła! Cóż to głupi jesteś przyjacielu, że nie rozumiesz? Panna Matylda jej uczenica. Córka naszej pani. I tak się w niej rozkochała, że pani zaczęło się to niepodobać, zazdrosna była o dziecko.

— No a dlaczegóż ta panna Janina opuszczała to miejsce, gdzie jej było tak dobrze, i tak ją lubiono?

— Ja też tego nie pojmuję! To jest niby, że jeżeli nikt nie zna powodu — to pani wie napewno. I dla tego pewnie jest taka teraz na nią wściekła. Zapowiedziała wszystkim, żeby o niej nawet nie wspominać... A ja... Na wasze zdrowie przyjacielu!...

— Dziękuję! I cóż wy?

— A ja domyślam się co było! Ale to pozostanie między nami — nieprawdaż?

— Do dyabła! Także pytanie! Ma się rozumieć! Nie jestem gadatliwą babą u licha!

— A więc... ale może to pana nie interesuje?

— Przeciwnie... to rozmowa zwykła jak każda inna... a wy tak barwnie opowiadacie mój przyjacielu...

— Trąćmy się! Oh! jakie dobre to słodkie wino! Pije się jak wodę, nie uważacie?... Ah! tak! panie Jaminot... Jakoś od roku przeszło, od zeszłego listopada zmieniła się zupełnie. Raz była smutna, raz wesoła, często się zamyślała, wiesz przyjacielu, jakto kobiety umieją, one wszystkie jednakie jak mają co na sercu... a co się jej nigdy dawniej nie zdarzało. Prosiła dość często o pozwolenie wychodzenia na miasto. Aż tu pewnego poranku spotykam moją pannę Janinę z jakimś mężczyzną w porcie...

— Jakto? W porcie?

— No tak! Oczywiście, ty nic nie rozumiesz mój drogi! W porcie w Antwerpii.

— Więc nie zawsze mieszkacie w Brukseli?

— W Brukseli? Ale skądże ty jesteś człowieku — z Chin? W Brukseli spędzamy najwyżej z jaki miesiąc czasu i to jeszcze jak są jakie ważne interesa, o naprzykład gdy pan nieboszczyk miał większe wypłaty, a jak umarł, to teraz pani chce się pozbyć tych wszystkich kłopotów. Ośm miesięcy spędzamy w Antwerpii, gdzie są główne biura.

Jaminot nie pytał więcej. Co mu zależało na tem, żeby się dowiedzieć, jakiego to rodzaju były te biura. Dowiedział się teraz dlaczego nauczycielka nie była znaną w Brukseli i teraz rozumiał dlaczego poszukiwania zostały bezowocne. Ta wiadomość wystarczała mu zupełnie. Nie miał więc potrzeby przerywać gadatliwemu towarzyszowi. Kazimierz opowiadał dalej:

— A w lecie jesteśmy w Ostendzie — wiesz? Co to ja mówiłem?

— O człowieku spacerującym z panną Janiną.

— Ah! tak! A więc wyobraź sobie mój przyjacielu, szli sobie pod rękę przytuleni jak narzeczeni i patrzali na siebie w taki sposób, że ja sam bym się wstydził! I nikt mi nie wytłómaczy, że to nie ten lekkoduch, który jej w głowie przewrócił, był powodem, że opuściła nasz dom.

— Oh! to pewne... Pan się nie mylił. Założyłbym się, że to był stary jegomość!

Stary jegomość! Ejże, co też pan mówi — stary. A jakże. Młody, tak najwyżej trzydziestoletni chłopiec a przytem wcale ładny!

— Oh! Oh!

— A jakże! Ładny co się nazywa chłopak! Z wielkim ciemnym wąsem — dobrze zbudowany, choć nie bardzo wysoki. Oh! jakbym go jeszcze widział. Naprzód dlatego, że mi wpadł w oko, a powtóre miał znaczną bliznę na twarzy...

— Bliznę?

— Aha! Pod okiem prawem! Taka biała szrama! Ho! ho! Już go tam jakiś zuch nielada musiał w ten sposób naznaczyć! Ja się na takich rzeczach dzięki Bogu rozumiem.

— Ale słuchaj no stary! Jakoś tu gorąco zaczyna się robić! Możebyśmy tak poszli trochę użyć świeżego powietrza, przed kolacyą — co? Duszę się tutaj — chcesz?

— Ależ z przyjemnością.

Po kilku godzinach spędzonych na wypitce wyszedł na ulicę, tak trzeźwy i wesoły, jak gdyby co dopiero wstał po dobrze przespanej nocy. Jaminot również miał dobrą głowę i umiał dotrzymać placu. Tym razem jednak był ostrożny i bez zwrócenia uwagi swojego towarzysza, starał się pić umiarkowanie. Jaminot od chwili łamał sobie głowę, by zrozumieć, jaką rolę grał w tym dramacie ów młody człowiek, o którym wspominał Kazimierz? Czy już mało było powikłań różnych? Teraz znowu przybywała nowa robota! Do dyabła! A może prócz niego, trzeba będzie znowu zaczynać od samego początku i na nowo nakręcać maszynę, która już była w ruch puszczona? A toby była ładna historya doprawdy! No, tego już za wiele!... No, no, a może to znowu nic tak wielkiego? Przejściowa miłostka bez większego znaczenia! albo też zwykła bajka! Cień rzucony na dobre imię dziewczyny? A cóż ten Bélac robił w całej tej sprawie? Przez chwilę myślał, że to on będzie uwodzicielem pięknej Janiny, człowiekiem który ją doprowadził do nieszczęścia. Ale nie... on był odrzucony... a teraz występował jakiś młody, przystojny chłopak, z którym dziewczyna nie tak zimno obchodzić się musiała, kiedy ich spotykali razem chodzących pod rękę na dalekich spacerach!

— Wie pan — rzekł Jaminot do swojego towarzysza — że ja myślę o tem, coś mi pan mówił i podziwiam pańską genialną, niezwykłą pamięć! Ho! ho! Pau musisz być nielada sprytnym spostrzegaczem, jeżeli możesz sobie tak dobrze przypomnieć kogoś, którego raz tylko w życiu spotkałeś?

— Tak spotkałem się z nim raz tylko, ale go jeszcze później widziałem. Ho! ho! a jakże, widziałem jeszcze później tego chłopca!

— Tak?

— Kręcił się często koło naszego domu.

— A to dobre!

— Zrozumiesz mój przyjacielu, że nie mogłem uczynić z tego żadnego użytku. Nie zawsze bezpiecznie jest mięszać się w cudze interesa, nieprawdaż?

— Ależ masz pan zupełną słuszność.

— Jednakże jednego wieczora, miałem wielką ochotę przestrzedz pannę Janinę!

— Ja? A po co? A przed czem? Żeby jej trochę morałów nagadać?

— Ej nie! Toby było możliwe, gdybym o nią był zazdrosny. Ale wiesz, ja dotąd nie wiem, co to jest miłość.

— Przyjm pan moje serdeczne gratulacye.

— Naprawdę. Spotkałem tego elegancika na ulicy, na progu bardzo podejrzanego domu, rozmawiającego i śmiejącego się do rozpuku z jakiemiś dziewczętami niskiej klasy i wiecie, żal mi się dziewczyny zrobiło. Bo w końcu ona była war-

ta czegoś lepszego, a ten nic dobrego najspokojniej w świecie zdradzał ją i oszukiwał z dziewczynami najgorszego gatunku.... Ale nie śmiałem.

— I to naturalnie działo się również w Anvers?

— No tak. W drzwiach domu pod kogutem, tuż przy poczcie. Co? ładny gagatek? Wizyta w takim domu, to nie spacer po parku. Jak myślisz? I jeszcze był na tyle czelny, że potem przyszedł do nas, do naszego domu.... I przedstawił się w roli niewinnego baranka!

— Naprawdę?

— A jakże. Nie przyszedł sam. Dwa razy był jeszcze za życia nieboszczyka pana w Brukseli, z jakimś małym grubym człowiekiem, siwym, który zamykał się z panem naszym w kancelaryi.... a nawet ostatni raz, ten gruby wychodząc był czerwony jak burak. Spotkał na korytarzu pannę Janinę i coś jej szepnął do ucha, a ona się odwróciła i palnęła go z całej siły w twarz! Ho! ho! jak ona go palnęła! Było co widzieć. Byłem obok w pokoju, do którego drzwi były otwarte i zobaczyłem tę scenę! Wtedy on, ten gruby, powiedział jej, żeby się nie gniewała, bo on się chce z nią żenić.

— Kto, ten stary?

— A któżby? Ale ona uciekła...

— I kto był ten gruby jegomość?

— Jakiś Paryżanin i nie byle co! Prowadził poważne sprawy. Nasz pan to zawsze był chory, jak on przyjeżdżał. Na szczęście zdarzało się to rzadko.... No, ale możebyśmy teraz poszli na kolacyę — co? jak uważasz przyjacielu? A nie trzeba się też spóźnić na widowisko!

Poszli do jakiejś restauracyi na placu Monnase, gdzie kazali sobie podać obfitą kolacyę, poczem udali się do teatru. Przedstawienie miało się rozpocząć za kilka minut. Kazimierz skorzystał ze zwłoki i zawieruszył się gdzieś, a wtedy Jaminot zbliżył się do jakiegoś pana, który z miną obojętną i zadowoloną spacerował przed wejściem, trzymając w ręce kupiony bilet.

Był to szef bezpieczeństwa, pan Cardec, który wezwany depeszą Jaminot'a, przybył już do Brukseli.

— Panie szefie! dobrze idzie — szepnął ajent przechodząc koło niego. — Mam nowe ślady! Umieszczę mego ptaszka pomiędzy nami. 'Będzie dalej śpiewał! I poszedł dalej.

Pan Cardec, który zdawał się nic nie słyszeć, co do niego mówiono, wszedł na salę. Podczas przedstawienia ajent i Kazimierz zawiązali znajomość z sąsiadem. Pożyczony program i lornetka ułatwiły poznanie. Po teatrze wszyscy trzej poszli na kieliszek do kawiarni „Trop Tard“, którą dopiero nad ranem opuścili. Trzeba było Kazimierza nieprzytomnego odwieść dorożką do mieszkania.

Pan Cardec i Jaminot dowiedzieli sie jeszcze, że panna Janina opuściła swoich chlebodawców, w domu których czuła się jak u siebie, pewnego wieczora, nie uprzedziwszy nikogo, dnia 13 stycznia. I od tej pory nie miano o niej żadnej wiadomości. Jeszcze tego samego dnia, pociąg pospieszny unosił do Antwerpii pana Cardec z ajentem Jaminot.

ROZDZIAŁ X.

W Antwerpii.

W czasie podróży szef bezpieczeństwa rozmawiał z Jaminotem.

— Wszystko to bardzo ładne — mówił Cardec — ale raz tylko udać się to może. Moje stanowisko zabrania mi osobiście bawić się w pokątne wywiadywania, rozumiesz to mój Jaminot. Jesteśmy na obczyźnie i obowiązkiem moim jest, zwrócić się o pomoc do władz lokalnych.

— Dobrze, ale któż może panu zabronić porozmawiać trochę z takim naiwnym idyotą!

— Ty, Jaminot, masz swój sposób zapatrywania się na te rzeczy. Pewnie, że nie stało się nic złego dla nas, ale na przyszłość nie mogę tak postępować.... Przybyłem natychmiast po otrzymaniu depeszy, bo rzecz warta jest pośpiechu i wiedziałem, że chwila rozmowy z tobą o tym przedmiocie, więcej mnie oświetli, niż najobszerniejsza korespondencya. W każdym razie uczyniłem praktycznie. Prosto z wagonu udałem się pod wskazany adres, w pokoju twoim znalazłem kartkę, donoszącą mi, że wieczorem będziesz w teatrze i przyznam ci się, że z ochotą rozmawiałem z tym człowiekiem, który w końcu udzielił nam bezwiednie ważnych wiadomości. Ale teraz trzeba inaczej postępować.... Powiedz no!....

— Cóż takiego panie szefie?

— Gdy mu pokazałeś fotografię....

— Przepraszam — pozwoliłem mu tylko rzucić na nią okiem.

— A więc.... czy okazał jakie zdziwienie?

— Tak.... ale nie podejrzywał nic zgoła.... Ja przewidziałem wszystko i miałem w pogotowiu dobrą odpowiedź! Ho! ho! nie mnie brać na kawał. Przyznaję, że pokazanie tej fotografii było trochę ryzykowne, ale czy mogłem przebierać w środkach? Musiałem się przecież dowiedzieć o nazwisku tej



— Trąćmy się! Oh! jakie dobre to słodkie wino!..

kobiety. A ponieważ on się tem wcale nie zdradził, po co miałem go okłamywać, lub tłómaczyć mu coś.

— Ma się rozumieć.

— Pan szef pojmuje, ja mu tylko podsunąłem pod oczy samą głowę, zakrywając ręką resztę ciała.

— To dobrze. Ale przyznać trzeba, że ta głowa w tył odrzucona, z pół otwartemi oczyma, z wyrazem przerażenia na twarzy, mogła wzbudzić pewne niezapokojenie.

— To prawda! To też byłem trochę w strachu. Dopiero nazajutrz Kazimierz wspomniał o tej fotografii.... Zapytał się, czy mam jeszcze portret panny Janiny przy sobie — głupiec myślał, że mu go po raz drugi pod nos podstawię! i pytał jeszcze skąd ją miałem.... i dlaczego jest przedstawiona w takiej dziwnej pozie....

— A więc zauważył?

— Widocznie. — Odpowiedziałem mu, że fotografia należy do mojego pryncypała, że nie wiem, jakim sposobem dostała się w jego ręce, że w końcu nic mnie to nie obchodzi i zdaje się, że zdjęcie musiało być dokonane w czasie zahypnotyzowania. Było to bardzo nieprawdopodobne, nie chcąc zaś, aby on na to zwrócił uwagę, zapuściłem się natychmiast w szeroką rozprawę naukową, na temat hypnotyzmu. Kazimierz był olśniony i zdziwiony moją erudycyą, a ja wiem, że wygadywałem okropne głupstwa. Lecz mój towarzysz zanadto naiwny, ażeby to spostrzedz.

— A więc wszystko idzie dobrze? Co zaś do tego młodego człowieka z blizną na twarzy, czekajmy sposobności, choć i mnie on porządnie intryguje. Teraz przedewszystkiem powinno nam chodzić o kobietę.

Rozmowa przybrała inny kierunek. Było umówione, że Jaminot, choć wyczerpany i zmęczony, puści się natychmiast na polowanie, a pan Cardec, uchodzący za turystę, zwiedzającego miasto, oczekiwać będzie w hotelu wiadomości od niego, o ile będą naturalnie jakie i nie będzie się wtrącał do poszukiwań. W razie potrzeby zwrócą się o pomoc do miejscowej policyi, ale to dopiero w ostatecznym razie.

O młodym człowieku naturalnie, nie będzie się nic wspominać. Według opowiadania służącego, rozmawiał on tylko z nauczycielką i starał się o jej względy, a mogło to również dobrze być plotką. Nie było to przecież zbrodnią, gdyby ładnemu chłopcu podobała się ładna dziewczyna. Mógł po za tem być niewinny i czysty jak śnieg. A więc żadnych nietaktownych kroków! Żadnych pomyłek! Sprawa i bez tego była już dosyć pogmatwana i trudna do prowadzenia.

. . . .

Jaminot z łatwością wyszukał hotel „pod Kogutem“, o którym wspomniał Kazimierz. Twarz jego zmęczona, blada, oczy niewyspane, ubranie zmięte i niewyczyszczone, nie zdziwiły tu nikogo. W restauracyi, znajdującej się na dole, kilku nocnych gości, nie lepiej wyglądających od Jaminot'a, zabawiało się jeszcze.

Nie patrząc na nikogo, ajent, nasunąwszy głęboko kapelusz na oczy, poszedł spokojnie usiąść sobie przy odosobnionym stoliku, pomiędzy piecem a ladą. Głosem ochrypniętym zażądał kieliszka wódki jałowcowej, zapłacił i zaraz potem kazał sobie podać drugi. Z wzrokiem uparcie skierowanym w drzwi wchodowe, drżał widocznie za najmniejszym hałasem i podnosił się, gotów do ucieczki, ilekroć drzwi szynku się otworzyły. Ho! ho! to musiał być ptaszek, który nie miał czystego sumienia.

To zachowanie się Jaminota w zupełności osiągnęło swój cel i zwróciło uwagę gospodarza. Od chwili już tenże nie spuszczał z oka nowego przybysza i pod pozorem ogrzania sobie rąk przy piecu, podszedł do niego i zauważył przebiegle, że nie musi być tutejszy.

— A panu co do tego — odburknął dziko Jaminot — czy ja się wtrącam w pańskie interesa?

— No, no! bez obrazy! Przecież się nic złego nie mówi.

— Bo nie rozumiem — winienem co wam, hę? Nie — to idźcie swoją drogą!

— Niepotrzebnie się mnie pan tak strzeże!

— Ja się nie strzegę!... A przedczem żeby znowu?

— No, no! widzę, że coś panu nie na rękę — co? Co panu dolega?

Jaminot doprowadził do tego, że jego to zapytywano... Odpowiedział znowu gburowato... lecz z odrobiną wahania:

— Mnie coś dolega? O, wcale nie!

— Ehe! Gadaj sobie zdrów!

— A gdyby nawet, to nie pański interes!

— Phi! niewiadomo.

— Co? co? a może pan jesteś z „paczki?“

— Ja?

Szynkarz wybuchnął głośnym śmiechem, aż się okna zatrzęsły i zwracając się do szanownego otoczenia, podzielił się z niem podejrzeniem nowego gościa.

Towarzystwo przyjęło tę wiadomość nadzwyczaj wesoło.

— No to co? niema się co tak stawiać—mruknął Jaminot — nie pan pierwszy ani ostatni.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Niebywały wyścig.

Sport automobilowy, wkraczający obecnie w dziedzinę praktyczną, ma olbrzymią przyszłość przed sobą. Przedewszystkiem czyni on wielką konkurencyę kolejom żelaznym, bo korzysta z już istniejących dróg szosowych, których sieć w Europie zachodniej jest tak znakomicie rozwinięta, a następnie daje tym, co kierują wozami, taką satysfakcyę, jakiej nie można otrzymać przy innym rodzaju lokomocyi.

Szybkość automobilowych wozów przechodzi wszystko, co dotąd dało się wogóle osiągnąć. Dosyć powiedzieć, że automobile pędzą teraz 100 kilometrów na godzinę, podczas gdy największa szybkość pospiesznych pociągów kolejowych wynosi w Europie 85, w Ameryce północnej zaś 90 km. Czemże są wobec tego wozy, do których zaprzęgamy konie?...

Ta chęć zdobywania przestrzeni jak najodleglejszej i w jak najkrótszym czasie, doprowadziła np. do tego, że obecnie zorganizowano wyścig rekordowy wozami automobilowymi na przestrzeni Paryż-Pekin.

Łatwo wymówić nazwiska tych miast, lecz o ile trudniej przedstawić sobie przestrzeń jaka je dzieli. Przestrzeń leżąca między Petersburgiem a stolicą Chin wynosi bez mała 15.000 km., a do tego należy doliczyć odległość między Paryżem, a stolicą nad Newą.

Dalej musimy sobie przedstawić trudności, jakie czekać muszą automobilistów po drodze. Jeszcze w Rosyi europejskiej mogą rachować na gościńce, po których ich wehikuły będą mogły się posuwać z pożądaną szybkością, ale na Syberyi będzie już zupełnie inaczej, a cóż dopiero na pustynnych płaszczyznach Mongolii, które trzeba przejechać, pragnąc dostać się do Pekinu.



Fot. A. Drankow z Petersburga.
Niebywały wyścig: W. ks. Sergiusz Michajłowicz, który objął protektorat nad wyścigiem między Paryżem a Pekinem.

Jednakże znaleźli się ludzie dość zamożni i dość odważni, aby spróbować „przejażdżki“ do Pekinu. Podajemy w dzisiejszym numerze ich podobizny w chwili, gdy przybyli do Petersburga. Są to dwaj Francuzi, którzy prawdopodobnie będą pierwszymi u celu wyścigu, jeżeli oczywiście nie stanie im na przeszkodzie jakiś nieprzewidziany wypadek. W każdym razie przebyli już jedną część drogi, a nabyte doświadczenie ułatwi im niezawodnie walkę z dalszemi trudnościami.

Na dołączonych zdjęciach fotograficznych widzimy: naprzód podobiznę dwóch odważnych i wytrwałych francuskich automobilistów, Frauville'a i Dure'a, którzy pierwsi przybyli szczęśliwie do Petersburga, następne zdjęcie przedstawia w. ks. Sergiusza Michajłowicza, który objął protektorat nad tym wyścigiem, trzecie — przybycie Francuzów do Petersburga, ostatnie zaś — gdy za ich zdrowie zebrane na śniadaniu towarzystwo wznosi toast.

Jeżeli posłuży im nadal to samo szczęście, co i dotąd, to można się spodziewać, iż zawitają w zamierzonym czasie do stolicy „bagdychana“, gdzie oczywiście będą przyjęci z niezmiernem zdziwieniem przez ludność miejscową, dotąd jeszcze nieprzyzwyczajoną do widoku wehikułów bez koni i bez widocznego motoru.



Niebywały wyścig: Przybycie Francuzów do Petersburga. Fot. A. Drankow Petersburg.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Niebywały wyścig: Frauville i Dure, dwaj Francuzi, którzy pierwsi przybyli na automobilach do Petersburga.



Fot. Drankow, Petersburg.
Niebywały wyścig: Toast na cześć francuskich automobilistów.

Z TYGODNIA

Zakończyłem poprzednią kronikę wzmianką o przybyciu dziennikarzy angielskich do Berlina. Przyjmowano ich czule, nawet największy (według mego mniemania) mocarz świata, strategik, mowca, polityk i artysta, udzielił im miłościwie posłuchania. Niemcy bili się w piersi i przysięgali, że są narodem najbardziej pokój miłującym, że nie pragną niczyjej krzywdy, że nie wyciągają nigdy ręki po cudze. Anglicy udawali, że ich bito w ciemię i że wierzą w szczerość wynurzeń pruskich. Ale snać nie umieli dobrze maskować swej mniemanej naiwności, kiedy już w prasie niemieckiej spotykamy ton pesymistyczny. Może do tego przyczynił się i fakt, że angielscy dziennikarze okazali skłonność przyjęcia zaproszenia na wycieczkę do Wielkopolski, gdzie naocznie byliby się mogli przekonać, jak uczciwa pruska dusza nie łaknie nigdy cudzego.

Tak czy owak, dość, że dr. Schiemann, osoba dobrze widziana na dworze berlińskim, uznał za potrzebne wylać w „Kreuzzeitung" kubeł wody na tych, co się cieszyli błogim rezultatem odwiedzin dziennikarzy angielskich.

Zwrócił naprzód uwagę na to, że wśród nich „brakło przedstawicieli najwybitniejszych czasopism", a zakończył swój pesymistyczny artykuł opinią, że „aczkolwiek angielsko-niemiecka kombinacya przedstawiałaby najsilniejszą rękojmię pokoju", to na nią całkiem się nie zanosi i „Niemcy od Anglii niczego się nie spodziewają".

„Panie Schiemann, masz pan zupełną słuszność — odpowiada poważny „Times". — Opinia publiczna w Anglii, dzięki swej prasie, zdaje sobie sprawę jasno z sytuacyi i doskonale rozumie politykę niemiecką... Gdyby prasa angielska nie była wyjawiła szkodliwych zabiegów bismarkowskiej polityki zagranicznej, nie byłoby nigdy doszło do sojuszu z Japonią, ani do serdecznego porozumienia się z Francyą, ani do rozpoczętych układów z Rosyą... Niemcy zdają sobie z tego sprawę, choć milczą o tem w publicznej dyskusyi. Stąd to pochodzi owa, tak nagła, uprzejmość Niemców dla zagranicznej prasy, tak obca pruskim metodom, stąd nadzieja, że może jeszcze w ostatniej godzinie da się prawdę ukryć... pod grubą osłoną niezgrabnych komplementów".

Jak widzimy — naszych najserdeczniejszych znają dokładnie Anglicy, choć nie posiadają, tak jak my, przyjemności sąsiadowania z nimi. Gdyby ją posiadali, nie potrzebowaliby dopiero prasy, aby ich objaśniała, jaki to z Niemca miły ptaszek. Choć i my czasami dopiero z prasy obcej dowiadujemy się, do jakiego stopnia ci sąsiedzi nas kochają, jak się nami opiekują zawsze i wszędzie. Prasa rosyjska i francuska uchyliła rąbek z tajemnicy, jakich środków używa Berlin, aby nie dopuścić do autonomii Królestwa Polskiego. Świeżo zaś „Hałyczanin", organ starorusinów, wygadał się, że ukraińcy czerpali ogromne fundusze na wybory... z zagranicy. Z jakiej zagranicy? Zapewne ani Francya, ani Włochy, a tem mniej Hiszpania i Portugalia nie interesowały się wyborami galicyjskimi. Mogły się interesować tylko Niemcy i Rosya. Ale Rosya sprzyjać może jedynie starorusinom, co ją za swą macierz uważają, a nie ukraińcom, wrogo dla niej usposobionym. Więc pozostają tylko Niemcy, a właściwie mówiąc: Prusacy. Oni to umiłowali naszych hajdamaków...

Jakiego rodzaju agitacyę prowadzili ci hajdamacy między ludem ruskim, opowiada nam „Ruski Selanyn". Ciekawe to, ale zbyt długie obrazki, aby je można w całości powtórzyć. Poprzestaniemy na... najmniejszym. Na jednem ze zgromadzeń wyborczych znajdował się proboszcz miejscowy. „Ludzie — mówił, pokazując na niego, radykalny mowca — popatrzcie na tego popa, jakie on ma brzuszysko. A wiecie z czego? Z waszych kur. On co roku jedzie do Lwowa, aby mu skrobali sadło, gdyż pękłby inaczej. Gdybyście mu tak rozpruli brzuszysko i sadło wybrali, to cała gmina miałaby czem smarować wozy przez całą zimę..."

A propos wyborów wiedeńska „Conservative Correspondenz" podała dowcipne zestawienie nazwisk nowych posłów. Ale naturalnie, nie rozumiejąc, jak każdy Niemiec, „ludzkiego języka", musiała opuścić nazwiska polskie. A przecież i z nich dałoby się to i owo zestawić. Naprzód A b r a h a m (owicz) i Ł a z a r z (ski) mówią o naszym filosemityźmie, a P a s t o r o pociągu do kościoła ewangelickiego. Delegacya nasza będzie zrywała dla nas rajskie owoce, posiadając J a b ł o ń (ski) między sobą. Będzie się karmiła S z p o n d r e m, Z i e l e n i ą i M l e c z k i e m, dojonem ze S i w u l i. Nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę, bo choć nie ma szabli prapradziadów, ale posiada nowoczesną B o m b ę, a zresztą i bez bomby może Niemcom pokazać rogi, bo ma k o z ł a (Kozłowskiego) wśród siebie, a kto jej wejdzie w drogę, to go d o b i j e (Dobija), lub zrobi z niego r z e s z o t o (Rzeszódko). Będzie m ę s k i e g o charakteru, więc łatwo jej przyjdzie wygrać b a t a l i ę. Z ł o t o (Gold) wpływ jej zapewni, a gdy go nie starczy, to zastawi u Niemców d y a m e n t y (Diamand).

Lojalność naszą (stoimy i stać chcemy) reprezentuje Stojałowski, chęć utrzymania s t a n u posiadania dowodzą dwaj Staniszewscy. W wolnych chwilach będzie naszym posłom opowiadał bajeczki Jachowicz.

Można w ten sposób zrobić coś jeszcze z Potoczka, Germana, Gabla (widelec), Grossa, Kopycińskiego i Korytowskiego (kopyto i koryto) Ptasia i Sikorskiego i t. d. – ale zostawiam to już inwencyi szanownych czytelników, bo przychodzą mi na myśl inne nazwiska.

Nieraz się chwalimy (samochwalstwo zresztą to nie nasza wyłącznie wada), że polszczymy Niemców wśród nas zamieszkałych.

Jest to bezwątpienia prawda — na kartach naszej walki o wolność, w naszej literaturze, sztuce, przemyśle, w dziejach pracy społecznej, spotykamy co krok nazwiska niemieckie. Ale byli i są to ludzie, co się na naszej ziemi urodzili, których nieraz ojcowie, dziadowie, pradziadowie, czuli się już Polakami. Chwalba byłaby jednak tylko wtedy na miejscu, gdyby się Polacy nie niemczyli i to Polacy urodzeni i żyjący na polskiej ziemi. Niestety tak nie jest. Świeży przyczynek do tego podaje gdański korespondent „Dziennika Poznańskiego". Większa część ludności Gdańska — powiada on — to zniemczeni Polacy, resp. Kaszubi. W książce adresowej Gdańska znajduje się 71 Grabowskich, 50 Kowalskich, 73 Lewandowskich, 38 Makowskich, 24 Nowaków, 40 Olschewskich (tak). 26 Sawatzkich (Zawadzkich) itd. Nawet w Berlinie — twierdzi ten korespondent—mieszka około 200.000 zniemczonych Polaków (samych Nowaków posiada Berlin 275, Grabowskich 110). A Prusacy jęczą z powodu spolonizowania „bambrów" poznańskich, sprowadzonych do Księstwa przed... dwoma wiekami! — i wołają z tego powodu o wydanie ustawy dla przeciwdziałania narodowej propagandzie Polaków. Biedne owieczki przez polskiego wilka pożerane!

Tym poczciwym owieczkom nie brak nigdy ochoty do kolonizowania całego świata. Oto, jak donosi „Deutsch-Nationale Correspondenz", postanowiono założyć w Galicyi „Związek Niemców" na wzór innych „Schutzvereinów" w Austryi. Inicyatorzy „Związku" twierdzą, że w Galicyi żyje 250.000 Niemców, którzy potrzebują ochrony. Te ćwierć miliona można śmiało zmniejszyć do jakich 70.000 — 80.000, jeżeli ma się na myśli Niemców osiadłych, boć wojskowi i czasowo bawiący, nie mogą wchodzić w rachubę. A połowa tych Niemców przypada na Białą i na pogranicze śląskie — ale tam właśnie należałoby stworzyć ochronę Polaków przed Niemcami. „Schutzverein" w Galicyi ma damiar wydawać tygodnik niemiecki, pielęgnować język niemiecki (a toż my sami go nawet w szkołach ludowych... pielęgnujemy!) starać się o utrzymanie niemieckiego charakteru szkół i kościołów w koloniach niemieckich (ależ my sami o ten charakter dbamy i na niego łożymy — dość przypomnieć subwencye, uchwalane przez Radę szkolną dla szkół niemieckich), a wreszcie kontrolować niekorzystne często warunki wychodźctwa Niemców z Galicyi i połączonych z niem transakcyj ziemią. Wszystko to dowodzi, że narodowcy niemieccy mają ochotę stworzyć nowy „naród" w Galicyi i myślą o zorganizowaniu go takiem, aby głębokie zapuścił korzenie. Bo mówić o potrzebie „ochrony" tej garstki Niemców, to rzecz śmieszna. Nikt na nich nie napada, nikt ich nie wynaradawia — a zresztą, jeśli im źle, to... drzwi otwarte. Damy im chętnie nietylko krzyżyk, ale i nieco drobnych na drogę. Niech sobie wybiorą kraj, jaki chcą, wszak Niemcowi wszędzie ojczyzna, gdzie dobrze, „ubi bene".

Ja np. będąc Niemcem, zamiast śiedzieć w niegościnnej i zimnej Galicyi austryackiej, zamieszkałbym sobie w Galicyi hiszpańskiej. Kraj piękny, klimat ciepły, śliczne zabytki architektury, wino się rodzi, dziewczęta ogniste. A że tam wesoło, to najlepszy dowód, iż obecnie w Hiszpanii czynią przygotowania do odbycia się kongresu... tancmistrzów całego świata. Proszę sobie tego nie lekceważyć. Pan Girandot, jeden z największych mistrzów tańca, twierdzi przed współpracownikiem „Figara", że gdyby nie taniec, to ludnośćby wyginęła. On kojarzy największą ilość małżeństw. Paryska Akademia (!) choreografii zebrała dane statystyczne od 3.096 tancmistrzów, którzy z odpowiedniego kwestyonarza, rozesłanego do 1.097.503 uczniów, dowiedzieli się, że olbrzymia ich większość zawdzięcza poznanie swych dozgonnych towarzyszek tańcowi. W Niemczech taniec skojarzył 97% małżeństw, we Francyi 83%, w Austryi 71% i t. d. Najmniej „wytańczonych" żon jest w Norwegii, bo tylko 39%. Ale podobno też w Norwegii najmniej jest par... niedobranych.



PATRYOTA.

Siedząc w gnieździe pośród belek
Do jaskółki rzekł wróbelek:
„Ludzie, co mnie mocno dziwi,
Dla mnie są niesprawiedliwi;
Mówią, żem ja gbur, ladaco,
Ciebie chwalą — nie wiem za co!
Na mnie każdy stawia pęta,
Tyś jest dla nich prawie święta!
A ja jednak mam zasługi:
Siedzę w kraju, jak rok długi
I choć nieraz zima sroga,
Ja pilnuję domu proga.
Gdy tu w kraju wróbel chudnie,
Ty — odjeżdżasz na południe,
Może właśnie ci dla tego
Ludzie gniazda pilnie strzegą,
Choć zaletą jest to brzydką
Być jak ty — kosmopolitką!
Ja przez wszystkie dni żywota
Tu zostaję — patryota!"
A jaskółka tak do gbura:
„Przypatrz się na swoje pióra!
Niemi można już bez strachu
Latać na dach, albo z dachu
I na drzewo jeszcze może —
Lecz nie można już przez morze.
„Patryotyzm" zwiesz przez pychę
Te dwa twoje skrzydła liche!..."

K. K.

Kącik humorystyczny.

Czułe małżeństwo.

— Przyznaj się, że jedynym twoim celem było ożenić się bogato.

— Nie, gdyż w tym wypadku byłbym się ożenił z brzydszą od ciebie.

W salonie.

— Cóż ci młodzi ludzie tam w kącie tak żywo ze sobą szeptają?

— Chcą spowodować naszego gospodarza, aby kazał podać szampana i naradzają się właśnie, który z nich ma się z jego córką zaręczyć.

Także miara.

Pierwszy reporter: Czy to prawda, że się wozoraj w Kulikowie paliło?

Drugi reporter: Tak jest.

Pierwszy: Jaki rozmiar klęski?

Drugi: Co najwyżej *25 wierszy petitem...*



Katastrofa kolejowa pod Jaremczem.

W okolicy Jaremcza, tej prześlicznej, uroczej miejscowości w Beskidzie Wschodnim, tak ulubionej przez mieszkańców Lwowa i Stanisławowa, wydarzyła się w ubiegłym tygodniu katastrofa, która na szczęście nie pociągnęła za sobą żadnego wypadku, ani też nie grozi przyszłości tego cudownego miejsca.

Oto znajdujące się między stacyami kolejowemi Jaremczem a Dorą, prawie u wjazdu w przepiękną dolinę Prutu, pochyłe przedwzgórza, otoczone niebotycznemi górami i skalistemi opokami, poczęły się zsuwać ku dołowi, wysadzając równocześnie tor kolejowy do góry.



Katastrofa kolejowa pod Jaremczem: Widok sfalowanego toru, po którym posuwa się pociąg kolejowy.

Przyczyną katastrofy są składniki, jakie owe niepokaźne i tak niewinne na oko wzgórki w sobie zawierają. Niepamiętną ich formacyę mianowicie tworzy glinka sinawa, przerzucona bryłami kamienia. Przy silniejszym napływie podziemnych źródeł pokład glinki usuwa się ku dołowi i to z siłą ogromną, bezwzględną, nie dającą się niczem powstrzymać.

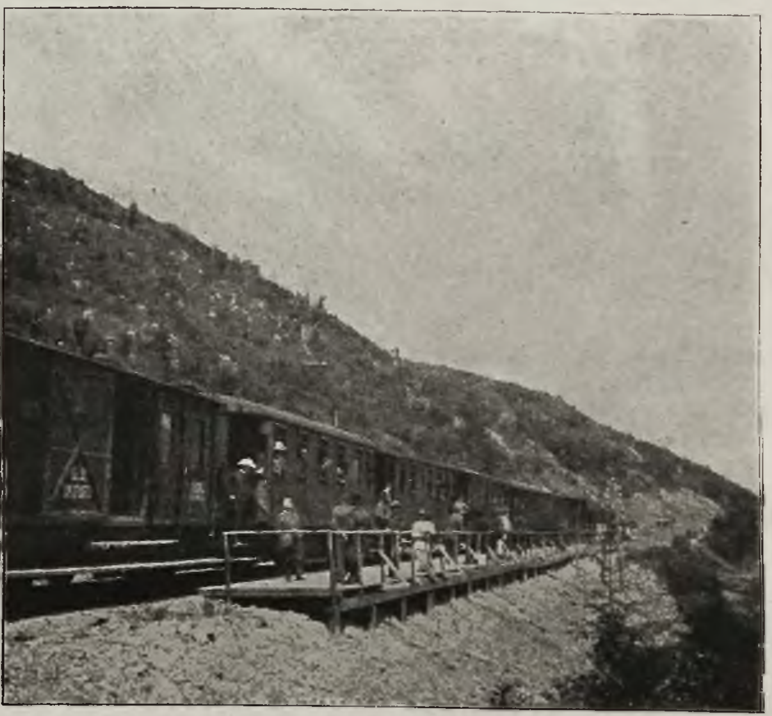
Proces ten, nierzadki zresztą w tych okolicach, nie uszedł na szczęście uwagi organów sekcyi konserwacyi kolejowej w sąsiednim Delatynie. W czas też zdołano zapobiedz grożącej katastrofie. Ruch pociągów towarowych wstrzymano na jakiś czas zupełnie, ruch osobowy zaś odbywa się za pomocą przesiadania się podróżnych.

Wedle informacyi ze sfer miarodajnych nastąpi w najbliższym czasie przełożenie toru kolejowego poza promień niebezpieczeństwa, warto zaś dodać, że nawet i teraz, wobec czujności zarządu kolejowego, nie grozi podróżnym żadne zgoła niebezpieczeństwo.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć, dokonanych na miejscu katastrofy. Illustrują one doskonale uszkodzenie, jakiemu uległ tor kolejowy na dużej przestrzeni. Widać nietylko wzniesienie się nasypu, ale i wysadzenie tak zw. progów, na których sparte są szyny. Na drugiej rycinie widzimy pociąg, z którego podróżni wysiadają, aby po przejściu prowizorycznego pomostu dostać się do drugiego pociągu. Trzecie wreszcie zdjęcie przedstawia komisyę kolejową, zajętą badaniem uszkodzonego toru.



Katastroja kolejowa pod Jaremczem: Komisya kolejowa bada uszkodzony tor, którego nienormalne wzniesienie doskonale widać.



Katastrofa kolejowa pod Jaremczem: Przesiadanie się podróżnych przy pomocy sztucznego pomostu.

Z obrad ludowców we Lwowie.

Z niemałem naprężeniem oczekiwano niedzielnego zjazdu posłów polskiego stronnictwa ludowego, którzy z wydziałem rady naczelnej stronnictwa mieli orzec, jaki będzie na razie ich stosunek do przyszłego Koła polskiego, ostateczną bowiem decyzyę zastrzeżono kongresowi stronnictwa.

Obrady niedzielne trwały cały dzień i były poufne — z tego zaś, co do publicznej doszło wiadomości, jako rezultatu uchwał, można mieć pełne zadowolenie, bo sprawa wstąpienia ludowców do Koła polskiego jest na najlepszej drodze.

Zjazd niedzielny mianowicie postanowił wybrać z łona swoich posłów komisyę parlamentarną, która w porozumieniu z odpowiednią delegacyą Koła polskiego upoważnioną będzie do ustalenia jednostajnego postępowania w sprawach narodowych i krajowych. Na razie bowiem ludowcy pozostają poza Kołem, jako Klub samodzielny, a tymczasem wdro-



Z obrad ludowców we Lwowie: Grupa uczestników zjazdu. Między obecnymi: 1. Redaktor Henryk Rewakowicz; 2. dr. Szymon Bernadzikowski; 3. poseł Franciszek Mleczko; 4. radca dr. J. Hoser; 5. K. Jampolski.



Z obrad ludowców we Lwowie: Grupa posłów ludowców: 1. Fr. Wójcik; 2. Jakób Bojko; 3. Jan Stapiński; 4. Michał Olszewski; 5. Jakób Madej; 6. Jan Harnek; 7. Józef Staniszewski; 8. Tomasz Ciągło; 9. poseł sejmowy Filip Włodek; 10. Józef Jachowicz; 11. Jan Siwula; 12. Dr. Adam Ruebenbauer; 13. Antoni Bomba; 14. Antoni Paduch.

żone będą rokowania, pod jakimi warunkami mogą oni wstąpić do Koła polskiego.

W zjeździe wzięło udział 14 nowowybranych posłów-ludowców do parlamentu, nadto 1 poseł sejmowy p. Filip Włodek, wydział i obecni we Lwowie członkowie rady naczelnej P. S. L. W grupie zjazdowej, której zdjęcie fotograficzne dziś przynosimy, zwraca uwagę szanowna postać nestora naszych dziennikarzy p. Henryka Rewakowicza, który od dłuższego lat szeregu przewodniczy radzie naczelnej P. S. L.

W grupie drugiej są już tylko posłowie. Brak tylko pp. Łuszczkiewicza, Krempy, Średniawskiego i Mleczki.

Nie od rzeczy zapewne będzie tu zaznaczyć, że pogłoski o braku należytych kwalifikacyj poselskich u nowowybranych posłów-ludowców, są bezpodstawne. Znaczna bowiem większość tych posłów włada należycie językiem niemieckim i ma po pewnej liczbie klas gimnazyalnych, jeden ukończył weterynaryę, trzech studya uniwersyteckie. Nie ilość ukończonych klas zresztą, nie patenty stanowią o kwalifikacyi poselskiej. Większą i trudniejszą szkołę życiową przeszli ci ludzie — godnymi też będą przedstawicielami wielkich rzesz ludowych, które ich z taką żywiołową siłą wybierały.

Jest więc nadzieja, że dadzą radę trudnym swoim obowiązkom i spełnią nadzieje, jakie cały lud w nich pokłada.

Wielki pisarz chorwacki w Krakowie.

Z chorwackiej, bratniej ziemicy, zawitał do prastarej stolicy Polski miły i drogi nam gość, Lubomir Babicz, jedna z najwybitniejszych postaci współczesnej Chorwacyi, znakomity powieściopisarz, poseł do sejmu chorwackiego i do sejmu węgierskiego.

Lubomir Babicz, urodzony 1854 r. w Gredycach w Chorwacyi, ukończył wydział prawniczy uniwersytetów w Zagrzebiu i Wiedniu, poczem poświęcił się pracy publicystycznej i literackiej. Pod pseudonimem Paweł Szandor Gjalski wydał młody

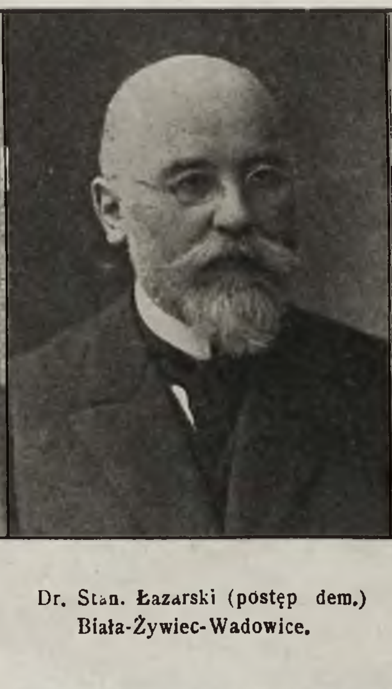
Nowowybrani posłowie.



Tymoteusz Staruch (samodz. ukrain) Brzeżany-Rohatyn-Bolechów.



Rudolf Gall (demokrata) Tarnopol.



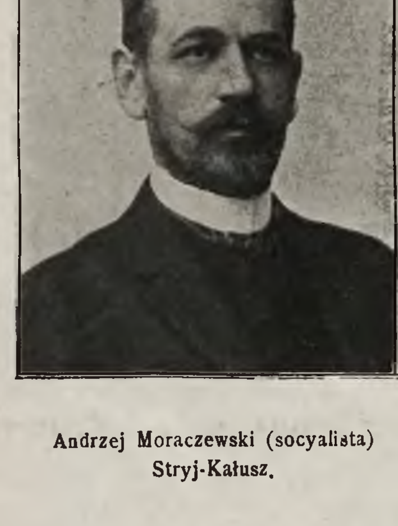
Dr. Stan. Łazarski (postęp dem.) Biała-Żywiec-Wadowice.



Dr. Leon Baczyński (radykał ruski) Stanisławów-Tłumacz-Bohorodczany.



Antoni Pawluszkiewicz (centrowiec) Jordanów-Sucha-Żywiec.



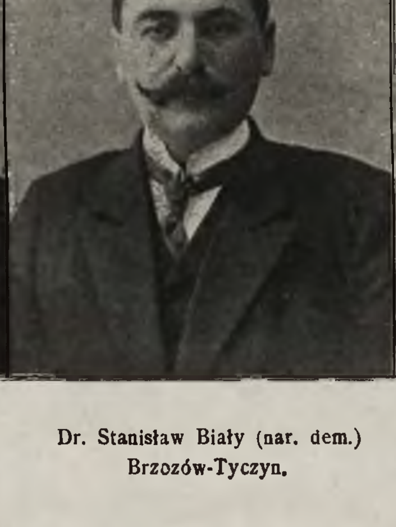
Andrzej Moraczewski (socyalista) Stryj-Kałusz.



Maciej Fijak (centrowiec) Maków-Jordanów-Żywiec.



Antoni Bomba (ludowiec) Brzozów-Tyczyn.

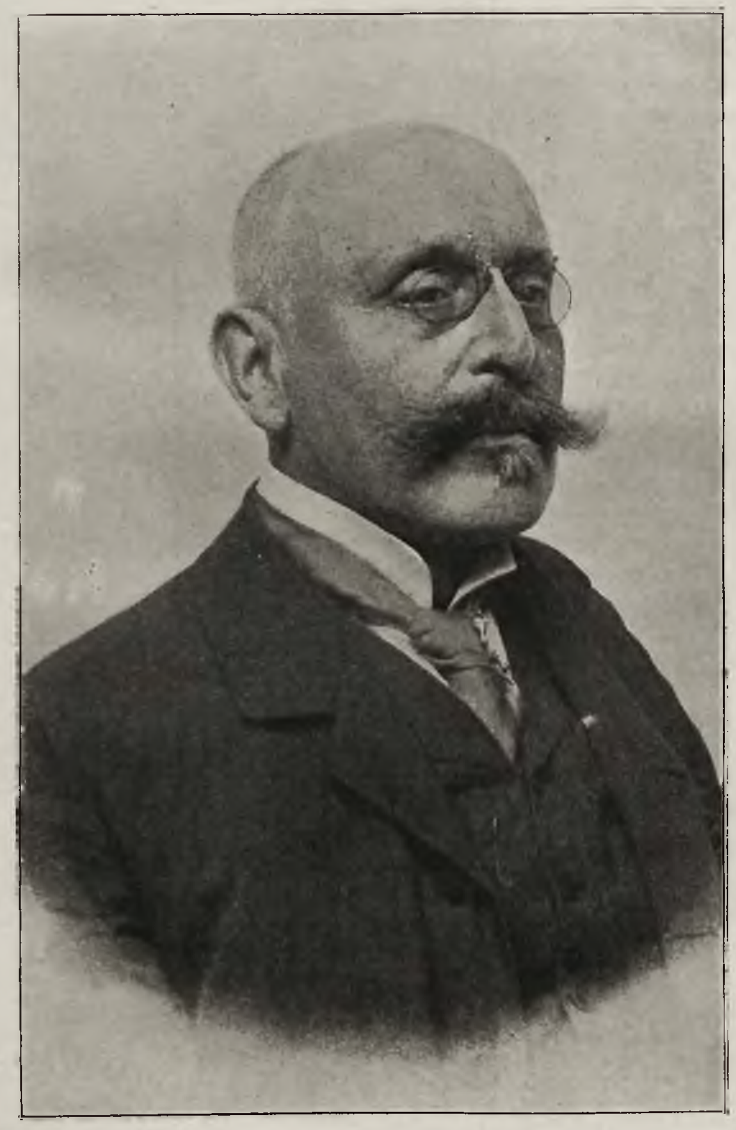


Dr. Stanisław Biały (nar. dem.) Brzozów-Tyczyn.



Jan Zamorski (nar. dem.) Kozowa-Tarnopol-Zbaraż.

podówczas literat szereg obrazków powieściowych, które wraz z następnemi dużemi dziełami zapewniły mn sławę i pierwszorzędne imię w literaturze nietylko chorwackiej, ale także i wszechsłowiańskiej.



Znakomity pisarz chorwacki w Krakowie: Lubomir (Ljuba) Babić, znakomity powieściopisarz chorwacki, znany pod pseudonimem Ksawerego Szandora Gjalskiego.

Jako powieściopisarz jest Ljuba Babić epigonem romantyzmu chorwackiego, tego romantyzmu, który rozwinął się świetnie w połowie ubiegłego stulecia, będąc przez swe zabarwienie patryotyczne odbiciem współczesnej epoki walk z Madziarami, epoki odrodzenia narodowego. Śladami romantyzmu są w dziełach Babicza natchnienie i zapał, szczerość uczucia patryotycznego, prawdziwa poezya.

W utworach Gjalskiego należy odróżnić dwa typy: jeden, to obrazki i nowele w rodzaju naszych gawęd i powieści Rzewuskiego, Chodźki, Kaczkowskiego, w których to obrazkach prostych, gawędziarskich, lirycznych, przekazuje pamięci obyczaje i typy z przeszłości; drugi, to powieści jego historyczne, polityczno-społeczne i obyczajowe. A wszystkie utwory Babicza cechuje wielkie, wrodzone umiłowanie piękna.

Nietylko jednak w literaturze chorwackiej imię Ljuby Babicza zapisane jest złotemi głoskami. Należy on również do wybitnych polityków swego narodu, jest członkiem delegacyi chorwackiej w sejmie węgierskim, jest też członkiem sejmu chorwackiego. Dla narodu naszego żywi jak najprzyjaźniejsze uczucia i z literatami i publicystami polskimi utrzymuje stałe stosunki.

W Krakowie bawił przez trzy dni, podejmowany tu z serdeczną gościnnością przez koło literacko-artystyczne i klub słowiański.

Obok zamieszczamy portret znakomitego i miłego gościa, zdjęty w Krakowie dzięki uprzejmości p. Babicza, przez naszego redakcyjnego fotografa.

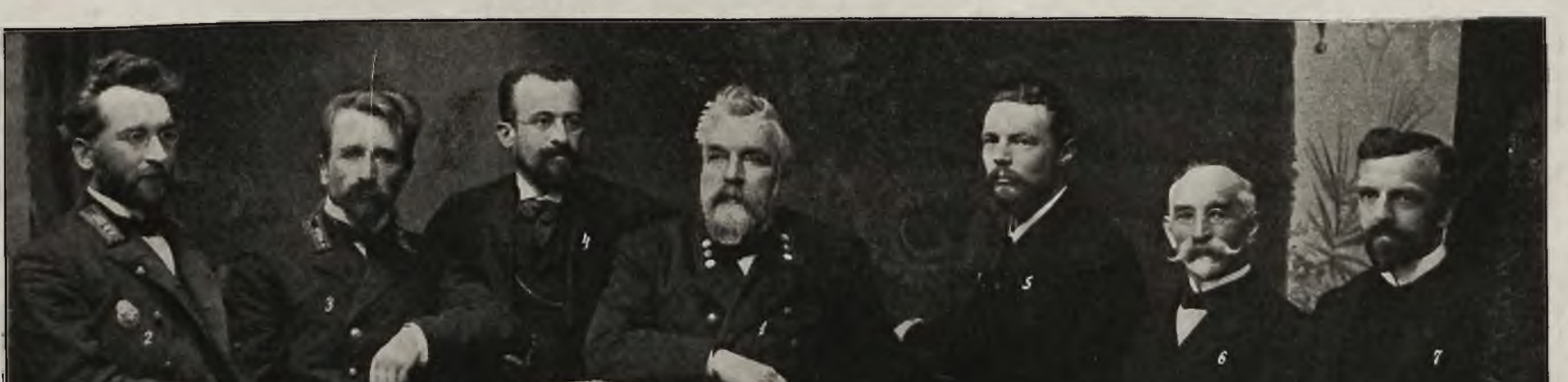
Oporni duchowni.

Duma rosyjska, przechodząca obecnie tak ciężkie przesilenie, że lada chwila można spodziewać się jej rozwiązania, należy do najosobliwszych parlamentów, jakie znane są w historyi. Gdzieindziej np. duchowni wszelkich wyznań stanowią podporę rządu i skoro zostaną wybrani do parlamentu, łączą się ze stronnictwami, które go popierają.

Inaczej dzieje się w Rosyi. Tam posłowie, wybrani z grona świeckiego duchowieństwa, przeszli do lewicy i zwalczają stanowczo obecny rząd, którego głową widomą jest Stołypin. Rzecz naturalna, że ich władza zwierzchnicza nie mogła puścić płazem podobnej niesubordynacyi. Wezwano ich tedy, aby opuścili skrajną lewicę, do której obecnie należą, albo żeby złożyli mandaty poselskie.



Oporni duchowni: 1. Kołokolnikow; 2. Tichwińskij; 3. Briliantow; 4. Archipow.



Fot. Z. Raczyński, Warszawa.

Walka o polską szkołę: Grono profesorów warszawskiego Instytutu weterynaryjnego z dyrektorem Sadowskim; 1. Dyr. J. Sadowski; 2. Sergiusz Szczęsnowicz, prosektor; 3. Docent prywatny Kamieński; 4. Nauczyciel Justow; 5. Docent Drozdow; 6. Docent I. Gajewski; 7. Farm. Gładych, aptekarz Instytutu.

Nie uczynili oni jednak ani jednego, ani drugiego — pozostali dalej na swych stanowiskach, a teraz jest bardzo ciekawem, jak postąpi sobie wobec nich Synod. Z jednej strony owi duchowni, będąc posłami, korzystają z praw nietykalności,



Skandal w otoczeniu cesarza Wilhelma: Ks. Filip Eulenburg.

z drugiej atoli — podlegają surowym przepisom dyscypliny cerkiewnej. Skutkiem tego wyniknąć może konflikt tem więcej interesujący, że jeszcze do bardzo niedawnych czasów kościół państwowy w Rosyi był czemś absolutnie nietykalnem. Jeżeli działy się w nim jakieś nadużycia, jeżeli między jego członkami zachodziły mniej lub więcej ostre nieporozumienia — wszystko zostawało pokryte nieprzeniknioną zasłoną urzędowej tajemnicy. Dziś zmieniło się dużo. Ostatecznie oporni duchowni prawosławni będą musieli oświadczyć się wyraźnie, czy wyżej cenią swe przekonania polityczne, czy też posady, na jakich pozostają dzięki Synodowi.

Walka o szkołę polską.

Od lat dwóch toczy społeczeństwo polskie zawziętą i konsekwentną walkę w Królestwie o spolszczenie szkół, a w walce tej idzie, idzie w pierwszych szeregach dzielna nasza młodzież. Nie zważając na następstwa, niejednokrotnie bardzo przykre, nie licząc się z ciężką przyszłością, a nawet narażając się na dotkiwe kary, młodzież polska domaga się głośno i dobitnie wprowadzenia polskiego wykładu do wszystkich szkół i zakładów naukowych w Królestwie.

W rzędzie tej młodzieży stanęli obecnie i wychowańcy Instytutu weterynaryjnego w Warszawie. Podnieśli oni żądanie wprowadzenia języka polskiego, jako wykładowego w Instytucie. W następstwie tego zawieszono wykłady i zaczęło się wyczekiwanie obu stron. Kiedy zaś następnie reakcya poczęła brać górę, nadeszło z ministeryum do zarządu Instytutu rozporządzenie aby — „o ile to jest możliwe“ — rozpocząć wykłady. Aby ocenić, o ile to jest możliwe, dyrektor Instytutu, Sadowski, Rosyanin, zwołał naradę profesorów. Na naradzie tej scharakteryzował dyrektor Sadowski, człowiek, cieszący się niezwykłym wśród studentów mirem, obecny stan walki o szkołę polską w Królestwie i stanowisko Instytutu w tej walce, a wyrażając hołd młodzieży, która rozpoczęła walkę o spolszczenie szkoły, zaproponował, aby wykładów w Instytucie nie podejmować, lecz oczekiwać dalszego biegu wypadków. Wniosek dyrektora Sadowskiego poparła większość obecnych na zebraniu profesorów.

Wnet potem nadeszło z ministeryum ponowne rozporządzenie, aby wykłady rozpocząć. Wówczas dyrektor Sadowski, widząc bezowocność tych usiłowań, podał się do dymisyi.

Profesorowie, koledzy z Instytutu, w uznaniu bezstronności zasad i przekonań dyrektora, ofiarowali żegnającemu ich pedagogowi grupę fotograficzną, którą w dzisiejszym numerze zamieszczamy.

Dla ścisłości informacyi zaznaczyć należy, że za przyjęciem wykładów byli tylko prof. Dawydow, Zacharow i Jewtigjew.

Skandal w otoczeniu cesarza Wilhelma.

Osobistość tak nieobliczalna, jak cesarz Wilhelm, musi niekiedy natknąć się na tego rodzaju figury, które wcale nie zasługują na to, aby z nie-



Skandal w otoczeniu cesarza Wilhelma: M. Harden, redaktor pisma „Die Zukunft“.

mi poufale obcował i rad ich zasięgał w najwyższych sprawach państwowych. I teraz znów zdarzyło się, że on sam był zmuszony pożegnać swoich najlepszych przyjaciół, z którymi tak dobrze się bawił.

Na zamku Liebenberg — nomen est omen — zasiadało często do stołu towarzystwo ogromnie wesołe, ale które bynajmniej nie krępowało się normami, jakie obowiązują wśród zwykłych śmiertelników, nie będących przyjaciółmi głów koronowanych. Składało się ono z gospodarza, ks. Filipa

Z lwowskiego bruku.

(Dlaczego Lwów urządza wystawę hygieniczną i co wystawimy? — Lwowianie a bakterye. — Komu należałoby przyznać najwyższą premię? — Co powinno być reprezentowane na wystawie? — Sądy wyborcze we Lwowie. — Wiec kobiet a emancypacya mężczyzn. — Czemu jestem za równouprawnieniem kobiet?)

Ponieważ przyszliśmy do przekonania, że w żadnem mieście niema tyle brudów, co we Lwowie, nigdzie niema tylu suchotników, nigdzie tyle wilgoci i niehygienicznych mieszkań, nigdzie niema takiego niechlujstwa na ulicach i w kamienicach, krótko mówiąc: ponieważ przekonaliśmy się, że niema w Galicyi bardziej niehygienicznego miasta, przeto urządzamy teraz wystawę hygieniczną, któraby pokazała światu, jak daleko postąpiliśmy w urządzeniach hygienicznych.

Jeśliby się kulawy popisywał tańcem, głuchoniemy śpiewem, obłąkany logiką, pijany równowagą, a kobieta dyskrecyą, nie byłoby to jeszcze tak śmiesznem i paradoksalnem, jak Lwów urządzający wystawę hygieniczną; ten sam Lwów, któryby raczej mógł urządzić wystawę swoich bakteryj i innych pluskiew. Bo jeśli we Lwowie nie wybuchły jeszcze wszystkie naraz epidemie, to tylko dlatego, że mieszkańcy Lwowa zanadto przyzwyczaili się do bakteryj a bakterye do mieszkańców, aby sobie wzajemnie szkodzić mogli. I owszem — przeciwnie. Mieszkaniec Lwowa musi je już mieć dla swego spokoju i zdrowia i tak, jak szczery lwowianin przyzwyczajony do pluskiew, nie może zasnąć w łóżku czystem, tak zachoruje i umrze, jeśli się dostanie do zdrowego miasta. I ten Lwów urządza wystawę hygieniczną! Wystawić należałoby raczej mieszkańców, którzy jeszcze nie powymierali, pomimo że mieszkają we Lwowie. I tym należy się premia, stosownie do przeżytych we Lwowie lat. Najwyższą nagrodę należałoby temu przyznać, który przeżył we Lwowie 30 lat z rzędu i ani razu nie umarł.

Na wystawie hygienicznej powinny dalej być reprezentowane nasze kanały i rowy, nasze ulice, które latami nie oglądają miotły, nasze kawiarnie, restauracye i masarnie, nasze podwórka i kloaki, nasze jatki i piekarnie, które weszły w przysłowie i nasze fabryki cukierków, nasz nabiał pochodzący nie od krowy, ale od wołu i inna nasza margaryna.

To i tysiąc innych rzeczy powinno się znaleść na wystawie hygienicznej, ale tego nam tam nie pokażą, bo my to wszystko aż nadto dobrze znamy. Zresztą zobaczymy. Do wystawy hygienicznej jeszcze wrócimy.

* * *

Na razie nie skończyliśmy jeszcze z wyborami. Posłów już mamy ale wola wyborców, którzy na nich głosowali, musiała doznać szwanku, skoro aż trzysta kilkadziesiąt procesów wyborczych dotąd wisi w sądach galicyjskich. Jest nawet zamiar, czy projekt, ażeby wszystkie te procesy rozegrały się w sądzie lwowskim, nawet te z prowincyi. Co skoro nastąpi, będziemy mieli przyjemność gościć w naszych murach hyeny wyborcze całej Galicyi. Zjazd hyen wyborczych odbędzie się podobno jeszcze w tym miesiącu z wielką uroczystością, o ile członków tego oryginalnego zjazdu nie pozamykają do kryminału. Ażeby dla nich zrobić miejsce, nasi więźniowie, znani zresztą z gościnności, ustępują dobrowolnie z więzienia, uciekając w nocy kominem. Zarząd wstrzymał ich twierdząc, że będzie dość miejsca dla nich i dla nowych.

* * *

Nadto przygotowuje się miasto do wyborów kahalnych, które zapowiadają się bardzo burzliwie, a więc zajmująco, a fakt, który nas najbardziej zajmuje, to równouprawnienie kobiet, omawiane szczegółowo na poniedziałkowym wiecu kobiet w sali Tow. pedagogicznego.

Jestem, jak to już nieraz udowodniłem, gorącym zwolennikiem równouprawnienia kobiet i pierwszy gotów jestem nietylko głosować na żeńskiego posła, ale nawet wziąć na się rolę honorowej hyeny wyborczej i usilnie agitować za przeparciem żeńskiej kandydatury, ale.....

Otóż to ale.... Ale pod warunkiem, jeśli nam przyszłe kandydatki na przyszłych posłów damskich przyrzekną już dziś, że dostawszy się do parlamentu, będą tam walczyć za równouprawnieniem mężczyzn. Ta kwestya, jak to słusznie podniósł w jednym z ostatnich numerów „Now. Ill.“ wasz Szanowny Kronikarz tygodniowy, jest dla nas mężczyzn piekącą, ba nawet parzącą i powinniśmy się czemprędzej połączyć i wszcząć krzyk o emancypacyę mężczyzn! Każda bezstronna kobieta przyzna, że my mężczyźni jesteśmy w porównaniu z kobietami bardzo upośledzeni, a choć nam ustawy zasadnicze przyznają marne prawo wyborcze, to jednak w zamian za to nakładają na nas takie obowiązki, o jakich nie śniło się nawet najbardziej uświadomionej kobiecie. Nie jestem wprawdzie upoważniony przemawiać w imieniu wszystkich mężczyzn, ale śmiało pozwalam sobie w ich imieniu złożyć następujące oświadczenie: „Odstąpimy chętnie kobietom całe bierne i czynne prawo wyborcze, byleby tylko w zamian za to wzięły na siebie obowiązek służby wojskowej“. O innych naszych obowiązkach nie wspominam, bo nie chcę nikogo zasmucać. I co nam dziś z tego prawa wyborczego? Za głosy albo nic nie płacą, albo bardzo mało, do mandatu dorwać się nie można, a jedynym pozytywnym rezultatem tego prawa są szturchańce, sińce, sekatura, przeniesienia urzędników, kryminał i długi.

Dlatego jestem bardzo za równouprawnieniem kobiet pod względem politycznym, społecznym, familijnym, płciowym i wojskowym i pierwszy staję w szeregach agitatorów za damskiem prawem wyborczem. Czynię to nietylko ze względu na swoje przekonania polityczne, ale przedewszystkiem ze względu na wdzięczność dla wszystkich kobiet, które przyczyniły się do mojego urodzenia, wychowania, miłości, ożenienia i mojego ojcostwa!

Kl.

Eulenburga, niegdyś ambasadora niemieckiego w Wiedniu, dwóch braci Moltke (jeden jest szefem sztabu generalnego, drugi był komendantem miasta Berlina) i Tschirschky'ego, sekretarza stanu dla spraw zagranicznych itd.

Oczywiście ozdobę tego grona stanowił sam cesarz Wilhelm, równie zapalony, jak nieudolny muzyk, w czem nie ustępuje mu książę *„Phili“*, znany ze swych niefortunnych kompozycyj muzycznych.

Gdyby ci mężowie, przedstawiający elitę kraju „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ byli poprzestali na uprawianiu muzyki, deklamowaniu wierszydeł własnego utworu, wywoływaniu duchów, no i rozpuście, która przekraczała wskazane przez naturę granice — świat nie byłby zapewne interesował się zbytnio nimi. Ale ich nieszczęście chciało, że wdali się w zatarg z kanclerzem państwa, ks. Bülowem, który zresztą należał sam ongi do tej wesołej kompanii.

Ks. Eulenburg zaczął kopać dołki pod swoim dawnym przyjacielem i koniecznie pragnął wpakować na posadę kanclerza hr. Moltkego, naczelnika sztabu generalnego. Ks. Bülow spostrzegł jednak, co się święci i użył pośrednictwa znanego publicysty Hardena, aby zdemaskować intrygi nieprzyjaznej sobie kliki. Zaczęły się tedy rewelacye w poczytnem bardzo piśmie Hardena pt.: „Die Zukunft“.

Między innemi pisał Harden w ten sposób o ks. Eulenburgu:

„Umiał on starać się o swych przyjaciół. Jednego zrobił szefem sztabu generalnego, drugiego, który był dlań *więcej niż przyjacielem*, komendantem Berlina.... a i dla innych znajdzie jeszcze ciepły kącik. Są to dobrzy ludzie: muzykalni, poetyczni, spirytyści; tak pobożni, że przypisują modlitwie większą siłę leczniczą, niż najlepszym lekarzom... Wszystko to byłoby ich rzeczą prywatną, gdyby nie należeli do najścislejszego koła cesarza i widocznie lub skrycie nię przędli pajęczyn, które utrudniały oddechanie państwu niemieckiemu“.

Szereg artykułów z „Zukunft“ dostał się do rąk cesarza Wilhelma, za pośrednictwem następcy tronu, który najwidoczniej trzyma stronę kanclerza. Władcy Niemiec otwarły się oczy. Naprzód popadł w niełaskę ks. Eulenburg, później dostał dymisyę komendant Berlina, a w dalszym ciągu spodziewanym jest szereg dymisyj wśród najbliższego otoczenia cesarza. Chciwa zaś sensacyi publiczność niemiecka będzie miała widowisko nielada, skoro b. komendant Berlina wytoczy Hardenowi proces za jego rewelacye, co szumnie zapowiedział.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

3 Ciąg dalszy

— A ja, dodał Daubrac, jestem lekarzem asystentem w Hotel Dieu, a to mój przyjaciel, baron Meriadec. Myśmy widzieli wchodzące dwie osoby na wieżę, z których tu jedna przed nami zabita, a mężczyznę, który szedł z tą nieszczęśliwą poznamy.

Komisarz policyi uległ wreszcie naleganiu, odesłał zwłoki na marach do szpitala, a sam udał się ku wieży. Fabreguette, Daubrac i Meriadec udali się z komisarzem, a za nimi, jak zwykle w takich wypadkach, ogromny tłum gawiedzi. Komisarz ustawił straż u wejścia na wieżę, a sam z malarzem, baronem i doktorem poszedł na górę. Zadzwoniono na trzeciem piętrze u kraty i wnet ukazała się na korytarzyku, wiodącym do mieszkania dzwonnika, piękna Rozalia.

— Czy panowie chcą wejść na wieżę? — zapytała miękkim, dźwięcznym głosem.

— Proszę drzwi otworzyć i zawołać tu ojca, — rzekł komisarz opryskliwie.

— Mój ojciec jest chory.

— Aha! Znamy się na jego chorobie. Pewnie znowu pijany. Czy tak, czy owak, muszę z nim pomówić!

Rózia otworzyła kratę, komisarz wszedł do mieszkania dzwonnika, a lekarz, baron i malarz pozostali w korytarzu.

— Jak się pani miewa, panno Rozalio, — zapytał Daubrac.

— Dziękuję panu konsyliarzowi. Czy wolno mi zapytać, w jakim celu przybyli tu panowie z komisarzem policyi?

— Szukamy tu pewnego pana, który przed dwudziestu minutami wszedł tu na wieżę w towarzystwie kobiety.

— Właśnie wtedy wróciłam do domu.

— Czy pani widziała ich obydwoje?

— Tylko w przelocie. Mój ojciec jest niezdrów, więc zostawił kratowe drzwi otworem, aby nie wstawać z łóżka i co chwilę nie otwierać ich wchodzącym. Ci państwo weszli na wieżę, nie zatrzymując się przy kracie, którą dopiero potem sama zamknęłam. Obecnie znajdują się na wieży.

— Niestety myli się pani, bo owa kobieta rzuciła się na bruk i zabiła, albo ją też strącono.

— Święty Boże!

— Teraz pani pojmie, dlaczego szukamy owego pana, który z tą nieszczęśliwą wszedł na wieżę.

Zanim dziewczyna zdołała jeszcze coś przemówić, przerażona tą wiadomością, wypadł komisarz z mieszkania dzwonnika i zawołał opryskliwie:

— Wiedziałem z góry, że Verdier znowu pijany. Już tego za wiele. Wieży nie pilnuje, drzwi nie zamyka, każdy może tu wchodzić i wychodzić według upodobania. To się musi skończyć.

— Niech pan komisarz raczy uwzględnić, że mój ojciec jest bardzo nieszczęśliwy.

— Oceniam bardzo troskliwość pani o ojca, ale nie mogę sprzeniewierzyć się mojemu obowiązkowi.

Usłyszano stąpanie po schodach. Były to kroki męskie, lekkie i spokojne, jakby szedł człowiek, któremu się wcale nie spieszy. Komisarz szepnął Rózi, ażeby odeszła do mieszkania, towarzyszy swoich ustawił na platformie, a sam wyszedł na schody. Za chwilę spostrzeżono schodzącego z góry mężczyznę, który na widok komisarza zatrzymał się, jakby zamierzał zrobić mu miejsce i przepuścić koło siebie. Daubrac i Meriadec poznali go natychmiast. Był to towarzysz damy z niebieskim welonem, mężczyzna okazałej postaci, a mimo młodości pełen powagi i dystynkcyi. Gdy widział, że komisarz nie rusza się z miejsca i stoi uparcie na środku schodu, spojrzał nań niecierpliwie, widocznie rozdrażniony tem, że mu ktoś drogę zastępuje.

— Komisarz podniósł ku niemu głowę i rzekł tonem ostrym:

— Proszę pana bliżej.

— Nie rozumiem pańskiego żądania. Zapewne pomyliłeś się pan co do osoby — odpowiedział nieznajomy dumnie i stanowczo.

— Wzywam pana w imieniu prawa, abyś pan natychmiast zbliżył się do mnie.

— Jeżeli tak, jestem prawu posłuszny. To rzekłszy nieznajomy zeszedł szybko i stanął przy komisarzu.

Udali się wszyscy do mieszkania dzwonnika, gdzie komisarz zadał na wstępie nieznajomemu pytanie:

— Pan wyszedłeś na wieżę w towarzystwie kobiety, nieprawdaż?

Nieznajomy zbladł cokolwiek, ale odpowiedział niedbale:

— A cóż to przedstawiciela policyi obchodzić może?

— Zapewne mnie obchodzi, jeżeli się pytam. Ci oto panowie widzieli pana, wchodzącego w towarzystwie kobiety na wieżę. Widziała też ta oto panienka.

— Nie przeczę.

— Gdzie się towarzyszka pańska podziała?

— Odeszła.

— Sama?

— Tak.

— Wątpię.

— Proszę iść na górę i przekonać się.

— To zbyteczne. Wiemy gdzie jest i zaraz pana do niej zaprowadzimy.

Nieznajomy drgnął niespokojnie i widać było u niego nie małe zakłopotanie, ale opanował się prędko i rzekł spokojnie:

— Zdaje mi się moi panowie, że stroicie sobie jakieś niewłaściwe żarty. Proszę mówić wyraźnie i jasno, czego właściwie odemnie żądacie.

— Natychmiast dowie się pan o wszystkiem, teraz proszę iść naprzód.

— Ustępuję przemocy, zwracam atoli uwagę panu na to, że we właściwem miejscu wniosę zażalenie. Pan dopuszcza się wobec mnie nadużycia władzy urzędowej. Dokąd chcesz mnie pan zaprowadzić?

— Do Hotel-Dieu.

— Do Hotel-Dieu?! — zawołał nieznajomy. — Czy przytrafiło się jej jakie nie szczęście?

— Szczególne, że pan o tem nie wiesz — rzekł komisarz ironicznie.

— Nie wiem i dlatego się pytam — mówił nieznajomy tonem energicznym.

— Dajże pan już spokój tej komedyi. Pan najlepiej wiesz o tem, co się stało.

— Pozwól pan w zamian się prosić, abyś mnie nie dręczył temi zagadkami, a pozwolił natomiast, abyśmy przyspieszyli kroku, bo chciałbym ją zobaczyć jak najprędzej.

— Tak bardzo się panu spieszy? Szczególne. Zaraz pójdziemy.

Jakoż udano się w pochód. Nieznajomy szedł przodem, a komisarz postępował tuż za nim. O ile z początku nie było mu pilno spieszyć na wieżę, bo był przekonany, że nieszczęśliwa kobieta popełniła samobójstwo, o tyle teraz gorączkowo przejął się tą myślą, że pochwycił mordercę i na myśl mu nie wpadło, że mógł być na wieży jeszcze kto inny i że należało właściwie nie poprzestawać na zatrzymaniu tego nieznajomego, ale całą wieżę przepatrzyć. Również i malarz uwierzył w to ślepo, że morderca ujęty, dlatego też z niejakim tryumfem rzekł do lekarza i barona:

— A co panowie? dobrze widziałem? gdyby nie ja, toby ten opryszek był umknął.

— Ten człowiek nie wygląda wcale na zbrodniarza — rzekł cicho Daubrac.

— Czy może dlatego pan tak sądzi, że ten panicz elegancko i modnie ubrany? O mój panie i tacy modnisie bywają zbrodniarzami.

— Ubranie jest rzeczą obojętną — odezwał się baron — ale twarz tego człowieka jest tak uczciwa, spokojna, że nie można w żaden sposób pogodzić się z tą myślą, że taki człowiek przed chwilą popełnił tak straszną zbrodnię.

— Jest to śmiały i zuchwały opryszek, oswojony z mordem, więc ma twarz spokojną, ale zobaczycie panowie, jak będzie wyglądał, gdy mu pokażą zwłoki zamordowanej.

Gdy zeszli na dół, zastąpiły im drogę tłumy gawiedzi, które dopiero policya rozpędzać musiała. Nieznajomy kroczył z dumą, poważnie obok komisarza, jak człowiek świadomy swej niewinności, a gardzący uwłaczającem mu podejrzeniem. Gdy weszli do Hotel-Dieu, komisarz zażądał wskazania sobie jakiegoś lokalu, gdzieby mógł spisać protokół. Daubrac zaprowadził wszystkich do swego ordynacyjnego pokoju. Tu dopiero można się było nieznajomemu dokładnie przypatrzyć. Był to człowiek wyglądający na lat trzydzieści kilka, silnie zbudowany, postawę miał wojskową i wyglądał na oficera w cywilnem ubraniu. Komisarz zasiadł za stołem, a nieznajomy, nie czekając pytania, odezwał się poważnie i energicznie:

— Proszę pana zakończyć już tę pomyłkę, czy też nadużycie władzy urzędowej. Sprowadziłeś mnie tu pan ku uciesze gawiedzi ulicznej, jakby złoczyńcę jakiegoś, nie powiedziawszy mi nawet, z jakiego się to stało powodu.

— Dowiesz się pan natychmiast — odpowiedział komisarz surowo. — A teraz proszę odpowiadać na moje pytania.

— Jestem gotów.

— Dlaczego pan poszedłeś na wieżę?

— Dlatego, aby równie jak wiele innych osób przyglądać się panoramie Paryża.

— I wyszedłeś pan na sam szczyt wieży?

— Nie panie. Zatrzymałem się w połowie drogi, bo ta pani, której towarzyszyłem, była zmęczona i wyżej iść nie mogła.

— Czy długo się pan tam zatrzymałeś?

— Bardzo krótko, co najwyżej przez kwadrans. Wiatr przewiewał bardzo silny, co dla mej towarzyszki było bardzo dokuczliwe, dlatego też zaraz zeszła na dół.

— A to dziwne. Dlaczegóż pan z nią razem nie zeszedłeś?

— Bo mnie ten wiatr wcale nie dokuczał.

— Jakto? — zawołał komisarz — więc idziesz pan w towarzystwie kobiety na wieżę i potem zostawiasz ją samą? To jest tak trudne do wiary, że ja w to uwierzyć nie mogę. Człowiek dobrze wychowany nie mógłby tego uczynić!

A jednak uczyniłem. Ta pani miała bardzo ważne przyczyny do tego, aby sama odeszła.

— Jakież to przyczyny?

— Nie znam ich.

— Jakto? więc odeszła nic panu nie powiedziawszy? To szczególne!

— Mój panie, proszę mi już raz wytłómaczyć, w jakim celu i na jakiej podstawie zadajesz mi pan pytania?

— Zadaję je w imieniu prawa. Czy ta pani była pańską żoną?

— Nie jestem żonaty.

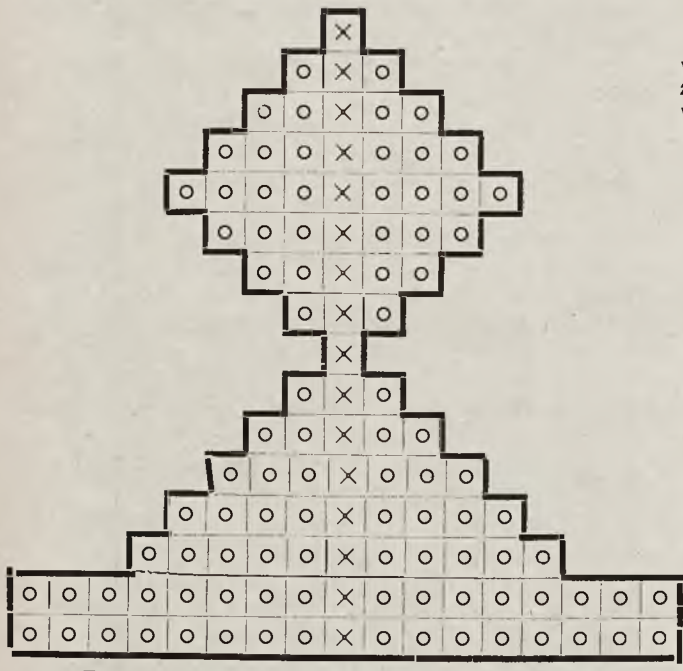
Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły przysłowie polskie.

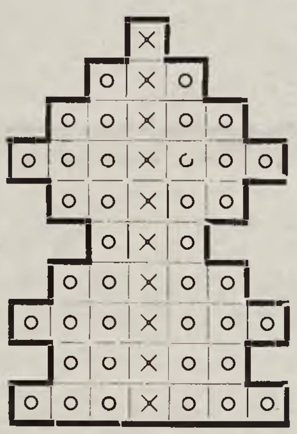


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rodzaj utworu poetycznego. 3. Rodzaj malowania. 4. Miasto w Armenii. 5. Miasto nad Renem. 6. Miejsce słynne z bitwy w 1831. 7. Taniec polski. 8. Rzeka w Polsce. 9. Spółgłoska. 10. Imię męskie biblijne. 11. Kraj w Azyi. 12 Miejsce odpustowe we Francyi. 13. Góry w Ameryce. 13. Pseudonim literacki rumuńskiej król. 15. Imię i nazwisko poety polskiego. 16. Tytuł dramatu napisanego na tle wojen szwedzko polskich.

Logogryf

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły znane polskie przysłowie.

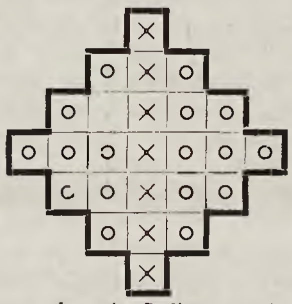


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Protoplasta rodu ludzkiego. 3 Tani nóż. 4. Wyspa na morzu Śródziemnem 5. Okrycie głowy, używane przez księży. 6. Miasto zbudowane przez Fenicyan. 7. Święto żydowskie. 8. Rodzaj głosu. 9. Inaczej bawidełko. 10 Miejscowość pod Warszawą.

Łamigłówka.

Ułożył E. B. z Krakowa.

Zastąpić kółka i krzyżyki literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków i czytanew pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły nazwisko wybitnej osoby politycznej w Rosyi.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Część twarzy. 3. Miejsce kuracyjne na Krymie. 4. Inaczej śmieszne naśladownictwo. 5. Miejsce pamiętne bitwą z 1831 r. 6. Ryba. 7. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy »Na rozstaju« St. Przybyszewskiego.

Z półek księgarskich.

»Macierz Polska«. Niezwykle piękną książkę wydała »Macierz« jako nr. 37 swej Biblioteki. Tytuł jej: »Księstwo Warszawskie w setną rocznicę utworzenia«. Autor, prof. Bronisław Gebert, nakreślił sobie zadanie dwojakie: przedstawić przystępnie dzieje Księstwa Warszawskiego i wydobyć z tych dziejów wnioski odpowiednie. Historyę Księstwa skreślił barwnie i bardzo zajmująco, a wnioski autora dadzą się skreślić w dwóch tezach: Księstwo było ważnym etapem w naszym rozwoju narodowym i dzieje Księstwa dokazały, że dojrzeliśmy zupełnie do samorządu. Książkę czyta się jednym tchem; mimo że wskrzesza ona chwile minione, ma w wysokim stopniu znaczenie aktualne. »Macierz« ozdobiła ją 18 rycinami (z tych szereg współczesnych), a dołączyła też do tekstu mapkę Księstwa. Całość obejmuje stron 96; cena 50 hal.

Edmund Walter. Chóry męskie. Serya pierwsza. Lwów, Księgarnia polska.

Pod powyższym tytułem ukazał się zbiorek, złożony z pięciu utworów bardzo melodyjnych, a wcale nietrudnych do wykonania. Wobec stosunkowo ubogiej polskiej muzyki chóralnej, tego rodzaju utwory witane są u nas sympatycznie i mogą rachować na powszechne uznanie. Szczególnie chór Nr. 4 »Gondolierka«, nagrodzony na konkursie lwowskiego »Echa« w 1894 roku, wyróżnia się efektowną fakturą, dającą pole do popisu nawet dla mniej wprawnych śpiewaków. Nie ustępuje mu wcale inny chór Nr. 5 »Hej pójdziemy dziewczyno«, a nawet przewyższa go barwnością. Bardzo oryginalnie pomyślanym jest chór Nr. 1. »Hej harda dziewczyno!« i uderza swem ładnem zakończeniem.

Wkrótce ma się ukazać druga i trzecia serya chórów męskich tegoż autora, które niezawodnie zdobędą sobie to samo uznanie kół fachowych, z jakiem spotkała się serya pierwsza. P. Walter, będący kompozytorem wielu pieśni do słów Konopnickiej, Tetmajera, Brzozowskiego, Rydla itd., ma już wyrobioną markę w świecie muzycznym. Talent zaś jego rozwija się coraz piękniej, tak że można spodziewać się po nim dużo na polu kompozycyi chóralnej.

Rozwiązanie zagadek z Nru 22.

Logogryf.

H, Sem, denar, patrony, Fryne, ski, I, aba, arsen, Szwecya, Illinois, strumyk, rapir, Nil, proso, satrapa, Kordyliery, Granada, waltornia, ostryga, Ewa-Mazepa.

Henryk Ibsen — Upiory — Nora.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Z. Ciechanowska Stary Sambor, M. Świtlikowa Rzeszów, K. Fuchs Czeremchów, M. Burdowicz Buczacz, R. Wiśniewski Kraków, Tow. »Zgoda« Krosno, F. Niepokój Krosno, M. Arbesbauer Lwów, H. Leligdowicz Fraga, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Niedźwiński Buczacz, M. Różański Libusza, L. Stefanowicz Wiedeń.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Ludwik Stefanowicz, w Wiedniu. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

ORZEŁ.

(Bajka).

Orzeł ze swego gniazda, choć był już wysoko,
Aż do wyżyn błękitu zwracał tęskne oko
I pogardziwszy wszelkie pęta i prawidła,
Wnet rozwinął do lotu samodzielne skrzydła.
Ale pióra na ślepej zapału usłudze,
Straciły swą siłę w powietrznej żegludze,
Jego oczy nadmiarem blasku przerażone,
Nie mogły już spoglądać śmiało w słońca stronę.
Aż w końcu utrudzony nadpowietrzną jazdą
Spadł nisko – niżej jeszcze niż miał swoje gniazdo...
I teraz podobniejszy raczej do straszydła
Wlecze za sobą w piasku pokrwawione skrzydła.
Lecz widząc łup dla siebie na pastwę rzucony,
Zleciały się doń kruki, sępy i gawrony
I szarpiąc aż do kości żywe jeszcze ciało.
O! ten niegdyś był orłem — z ironią wołało.
Zwichnięte jego skrzydła, stępił się dziób ostry...
Gdzież teraz twoje gniazdo, gdzież bracia i siostry?
Rzekł im orzeł konając: „Nie ginę przez nędzę!
Większym w moim upadku, niż wy w swej potędze
Gdyż wiedz rodzie obrzydły! niecne plemię świata:
„Ten tylko upaść może, kto wysoko lata!“

K. K.